N. 24. WARSZAWA d. 5 (17) Czerwca 1871 ROKU.

TYGODNIK MÓD



I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

Od Redakcji.

W kwartale trzecim r. b. Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami, nie zmieniając ani formatu swego ani dodatków, co tydzień do każdego numeru dołączanych. Powieści zapowiedziane również wychodzić będą, a obok utworów Kraszewskiego, Pauliny Wilkońskiéj, Zacharjasiewicza, Lisickiego, Nowińskiego i Łozińskiego, pomieścimy także pracę pani Walerji Marrené (Morzkowskiéj) łaskawie nam przyobiecaną i tłomaczoną powieść Dickensa p. t. *Dombey i syn.* Należytość prenumeracyjną wynoszącą na prowincji z przesyłką pocztową r. s. 2, *najlepiéj przesyłać wprost do Redakcji, z wypisaniem wyraźnem adresu*, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

W Warszawie prenumerata wynosi kwartalnie r. s. 1. kop. 50. Na prowincji rs. 2.

DZIECIĘ.

(Z W. Hugo).

O horror! horror! horror!
Shakspeare.— Macbeth.

Turcy przeszli. Wkoło zgliszcze pozostało..
Chios, ten raj wczoraj, dziś — ponurą skałą..
Chios, ogród młody,
Co w wód jasnych szybach, okolone borem
Kąpał swe wybrzeża, gmachy i wieczorem
Dziewic chorowody!

Wkoło pustka, cmentarz. Nie! pod wpółzapadłą
Wieżą, modrookie greckie chłopię siadło...
Ból mu czoło zwiesza ..
Za przytułek dziecku służy... co?.. Tarń mała,
Którą śród pożogi, wraz z niem zapomniała
Ta morderców rzesza.

Biedne chłopię! Bose, a bruk taki ostry!
Powiedz, co twe oczy, fal i niebios siostry
Z łez osuszyć zdoła?
By w ich modréj toni, przez mgłę łez, powoli
Błysła tęcza śmiechu, bodaj skra swawoli, —
Chmura spadła z czoła?

Co ci dać, o chłopię, by te bujne sploty
Włosów, co spłynęły niby strumień złoty
Na twe blade czoło,
I rozwiane na niem, drżą i płaczą zda się,
Jako liście brzozy, w strojnych puklów krasie
Zbiegły znów wokoło?

Co zwiać zdoła smutek co twe liczko mroczy?
Czy lilja cudna, modra jak twe oczy,
Wód Iranu krasa?
Czyli tuby owoc, tego drzew olbrzyma,
Co rumaka, słyszysz, sto lat w cieniu trzyma,
Choć on w galop hasa!

Chcesz, za uśmiech, dam ci owo borów ptaszę,
Co tak głośno śpiewa jak waltornie nasze,
A jak lutnia czule...
Kwiatków chcesz, owoców, ptaszka, powiedz
[przecie...

. . . .

Klemens Podwysocki.

URYWKI Z PODRÓŻY
PO STYRJI
PRZEZ
Tadeusza Jerzego Steckiego
w roku 1870 odbytéj.

(Dalszy ciąg).

IV.

Okolice Gleichenbergu.— Miasteczko Feldbach, jego dzieje, tajemniczy napis na dzwonie, historyczna miara zbożowa, sądy na czarnoksiężników.— Zamek Kornberg, zamek Riegersburg, dawni jego właściciele, opis zabytków i pamiątek tu przechowanych.

.....Korzystając z pięknego poranku, o wschodzie słońca, które jakoś leniwie z za gór wyzierało, ścieląc za sobą gęste kłęby mgły, to wznoszące się, to opadające w kształcie obłoków — co zwykle bywa zwiastunem pogodnego dnia w górach, z kilku towarzyszami podróży wybraliśmy się na kilkogodzinną wycieczkę w dolinę Raab, jedną z najpiękniejszych w téj okolicy. Celem naszéj wycieczki był wspaniały zamek Lichtenstejnów — Riegersburg o dwie godzin jazdy od Gleichenbergu odległy—najwspanialsze w Styrji feudalne dominjum, jedna z tych potężnych warowni, które opierały się najazdom Turków i Rakoczan, przez kilka wieków wciąż tę krainę trapiącym. Jechaliśmy prześliczną drogą — to ślimakiem wijącą się po majestatycznych górach, to znowu wbiegającą w szerokie ramiona doliny, zasłanéj jakby kobiercem malowniczym i wioskami. Tym wioskom Niemcy z nieporównanym talentem umieją nadawać charakter pięknych willi. Pod powojem wysoko po ścianach pnącym się, pod strzyżonemi z bluszczu szpalerami, zręcznie ukrywają ciężkie kształty swego ojczystego budownictwa. W Styrji to zamiłowanie w kwiatach, więcéj jeszcze niż w innych prowincjach rozwinięte: tu przy najlichszym domku spotkasz się z doniczkami z świeżych astrów, balsamin i pelargonji. Ogromne oleandry okryte kwiatem osłaniają wejście do domostwa, a na stajniach, szopach i oborach wszędzie rozpięty winograd. Przyjemność umieją tu połączyć

z pożytkiem i to właśnie cel ich zabiegów i szczyt dumy stanowi. Takiemi wioskami dojechaliśmy do Feldbach, malutkiéj ale ożywionéj handlowéj mieściny, górami ze wszystkich stron zamkniętéj. Feldbach ma kilka archeologicznych zabytków i historją podobną do wszystkich nadgranicznych miasteczek Styryjskich. I tu wojny i najazdy sąsiadów podkopały byt miasta, i tu prześladowania protestantów wywołały krwawe sceny pod koniec XVI wieku, a katolicyzm przez zbrojną komissję do kościoła wprowadzony być musiał.

Pierwszym założycielem miasta w 1632 roku był Hercog Rudolf IV, obwiódł je murami i ziemnemi wałami, których ślady dotychczas pozostały. Z dwóch bram wjazdowych, jedna runęła przed kilku laty. W rynku stoi kościół katolicki, stara gotycka budowa, jak świadczy nadpis na nawie w 1688 roku po raz ostatni odnowiony. Zasługują w nim na uwagę starożytne nadgrobki mianowicie grobowiec Zwicklów męża i żony z r. 1582, na zewnętrznéj ścianie kościelnéj umieszczony. Na białéj marmurowéj płycie dwie klęczące postacie naturalnéj wielkości przedstawiające zmarłych, artystycznie wykonane, zdradzają już obudzenie się dobrego smaku w téj epoce. Więcéj jeszcze od kościoła przechowało starożytną swą cechę probostwo obecnie na spichlerz zamienione, z napisem na froncie: „Christian Sappler a 1474 Fundator hujus domus voce pia petit unum Ave Maria." W północnéj ścianie tego budynku widać kilka wmurowanych kul kamiennych, których znaczenie trudno już odgadnąć. Na przyległéj dzwonicy, z któréj wspaniały widok obejmuje całą dolinę Raab i okalający ją łańcuch Alpów, pozostały cztery starożytne dzwony, budowie kościoła współczesne. Na jednym z nich, większym od innych znajduje się niezrozumiały napis, który kilku uczonych niemieckich rozmaicie objaśnić usiłowało. Napis ten tak brzmi: „Jesus agla consumatu es tnau anephey pnato." Profesor Hofmann który cały artykuł w jakimś dzienniku o tym nadpisie drukował, tłomaczy go w następujący sposób: „Jesus ad gloriam consumatum es tintinnabulum (tnau) aeterne (ane) pro honore (p. h.) ejus (ey) persona to" co znaczyćby miało: „Jezusowi na chwałę jesteś dzwonku poświęcony, na cześć Jego brzmij na wieki." Więcéj jeszcze licencji znajdujemy w drugiem objaśnieniu tegoż nadpisu, przez profesora Chmela podawanym: „Jesus ad gloriam consumatum es trahis anephey prato." *Anaphus* odznacza kielich, dzwon; *prato* — czyli miejsce, alegoryczne niby znaczenie Feldbachu od *feld* pola, miejsca dla którego dzwon był przeznaczony. A więc: „Jezusowi na chwałę jesteś wykończony, ściągasz (niby wiernych) twym dźwiękiem do pola, (zum Felde-Feldbach)." Profesor Robitsch uważa cały ten nadpis za aglomeracją formuł czyli zaklęć przeciwko burzy. Wiadomo bowiem że dzwonom prócz użytku kościelnego, przypisywano jeszcze moc odpędzania chmur, nawałnic i grzmotów. Takież same znaczenie miały nasze loretańskie dzwoneczki.

Oprócz tego dziwnego dzwonu posiada Feldbach jeszcze jedną osobliwość, do któréj przywiązana oryginalna tradycja, nadaje jéj cechę prawie archeologicznego zabytku. Oto na rynku tutejszym pokazują dużą drewnianą skrzynię żelazem okutą, bez wieka z dnem w którym niewielki tylko otwór znajduje się. Miała to być miara przez którą przemierzano wszelkie zboże na targ przywożone. To co się podczas mierzenia usypało przez otwór w dnie wydrążony, obracane bywało na dochód miejski, jako akcydens czyli rodzaj miejskiego podatku. Zwyczaj ten ustał od wieków, skrzynia tylko jako żywa jego kronika pozostała.

W latach 1674 i 75 pod prezydencją hr. Ernesta Purgstalla, odbywały się w Feldbach pamiętne w dziejach Styryi sądy, nad oskarżonemi o czarnoksięstwo. Jedenaście osób znalazło tu wówczas śmierć pod mieczem kata. Z tych najżywiéj utkwiły w pamięci ludu trzy ofiary: Grzegorz Agrykola proboszcz z sąsiedniéj parafji, Katarzyna Paldauff obwiniona o stwarzanie za pomocą czarnoksięztwa naturalnych kwiatów i ztąd *Blumenhexe* przezwana, i Marja Maurer cudnéj piękności, żona nauczyciela tutejszéj szkoły. Obie zostały uwiecznione w narodowych powieściach i poematach,— a portret kwiaciarki dotąd przechował się na zamku w Riegersburgu.

Tuż za Feldbachem widnieje na górze stary zamek Kornberg, jeszcze w XII wieku siedziba panów tego imienia, w 1328 roku za 150 marek srebrnych sprzedany braciom Fryderykowi i Ottonowi von Grabeu. Przez ostatnią dziedziczkę tego imienia Annę przeszedł wraz z herbem Grabenów w posiadanie Stadlów w 1552 r. Od tych w 1828 nabyli go Lichtenstejnowie.

Pomimo jednak tak dawnéj i znakomitéj przeszłości, zamek ten widocznie nieraz odnawiany nie ma zgoła cechy starożytności, a liczne jego wieżyczki niedawniéj jak przed stu laty musiały być dodane. Wewnętrzne urządzenie jego również nowe, pamiątek tu żadnych zgoła, nietknięte tylko starożytnéj zamkowéj kaplicy jeszcze w 1377 roku zbudowanéj, przechowały się w niéj nadgrobki Grabenów i Stadlów, pomniki niezmiernie ciekawe dla heraldyki niemieckiéj z XVI i XVII wieku.

Jeszcze półgodziny jazdy, aż oto z za gór i Riegersburg wychylił sędziwą swą głowę, najeżoną wałami i bastjonami. Olbrzym ten na daleką okolicę wzdłuż i wszerz nie ma sobie równego. Dumnie rozsiadł się nad doliną Raab, roztaczając ze swych okien i krużganków najwspanialsze widoki na Alpy, na śnieżny St. Gothard w Węgrzech, na kilkadziesiąt okolicznych zamków, na piękne ogrody i winnice Styryjskie. Ani średniowiecznym charakterem swéj budowy, ani warowną pozycją, nie ma to stare zamczysko w całych Niemczech drugiego, któreby z niem iść mogło w zawody. Znajdujemy liczne jego opisy w podróżach turystów po Styrji, uwieczniła go nawet niemiecka poezja. Znany orjentalista i pisarz niemiecki Hammer v. Purgstall, poświęcił wspomnieniom jego dziejów trzytomowe swe dzieło: „Die Gallerin auf der Riegersburg — pisali o niem Seidl i Kollmann. W r. 1835 podróżował po Styrji anglik, marynarz Basil Hall, znany z kilku dzieł w swym kraju, ten w gościnie u hr. Joanny Purgstallowéj — dziedziczki sąsiedniego zamku Heinfeld, przepędził zimę całą, ztamtąd robił wycieczki do Riegersburga, studjował to stare zamczysko, zachwycał się niem, a powróciwszy do kraju wydał spory tom swych przygód i podróży po Styrji p. t. Schloss Hainfeld or a Winter in lower Styria by Capitain Basil Hall. Edinbourg 1836. Ciekawą tę książkę tłomaczono na języki francuzki i niemiecki.

Dawne dzieje tego zamku upstrzone niemieckimi rodowodami, nie przedstawiają dla nas zbyt wielkiego interesu — w krótkości więc tylko o nich wspomniemy.

Jak wszędzie, gdzie nazwiska właściciели powstawały od nazw ziemi od dominiów, tak i tu pierwszymi posiadaczami zamku, już w XII wieku, byli panowie von Riegersburg.

W XIII i XIV wieku zamek ten nazywano Redherspurg am Stain, dla odróżnienia od drugiego w tejże okolicy Radherspurg an der Mur, o którym już mówiliśmy. W drugiéj połowie XIV w. Riegersburg na prawach lennych był w posiadaniu rodziny von Walsee, ta gdy wygasła w 1478 roku dostał się Reichenburgom — i ci wygaśli w 1571 to jest niespełna w lat sto, wtedy Stadlowie kupili ten zamek za 39 tysięcy guldenów — od nich w 1618 Grzegorz Krzysztof Ursenbeck, który go wnet oddał zięciowi Grzegorzowi Wecksterowi — ten znowu umierając bezpotomnie przekazał go siostrze swéj Elżbiecie — Katarzynie Gallerowéj w 1638 r. która pierwszych 16 lat po objęciu w posiadanie tego zamku obróciła na upiększenie i wzmocnienie go. Jest to jedna z najwydatniejszych postaci, wśród tak często zmieniających się właścicieli tutejszych, postać prawie dziejowa, któréj pamięć tkwi żywo w podaniach i legendach miejscowéj ludności. Nazywano pospolicie tę panią *Die Gallerin von Riegersburg*. Tym imieniem ochrzcił swe dzieło i Hammer Purgstall, poświęcając je wyłącznie prawie jéj wspomnieniu. Napróżno jednak szukalibyśmy sławy co ją tak uwieczniła. Bohaterka Purgstalla to najpospolitsza w świecie kobieta — żywa tylko i przedsiębiercza, ale oddana wszelkim namiętnościom, jakie tylko aureolę z kobiety zedrzeć są zdolne. Trzy razy zawierała śluby małżeńskie, łamiąc je za każdą razą. Nieustanne sprawy i procesa to z rodzinami swych mężów, to z sąsiadami w okolicy zajmowały większą połowę życia téj pani, jedyną więc tylko jéj zasługą było dźwignięcie i upiększenie ulubionego zamku, zresztą chyba niepospolita piękność, którą jeszcze na portretach jéj widzimy. Zdyskredytowana we własnéj rodzinie z powodu miłostek z dawnym sługą zamkowym, który zostawszy następnie pierwszym jéj doradzcą stwarzał jéj coraz to nowe procesa, opamiętała się nareszcie a chcąc zrehabilitować się w opinji, usunęła faworyta i w krótkim przeciągu czasu, zawdzięczając modzie i fortunie swéj po dwakroć w nowe związki małżeńskie wchodziła coraz to jednak niefortunniéj, bo ostatni jéj mąż, młody 20-letni Rudolf Stadl, strwoniwszy sporo jéj majętności, porzucił 60 letnią życia towarzyszkę, zabezpieczywszy jeszcze sobie znaczne zapisy.

D. 12 Kwietnia 1672 r. umarła Gallerowa na zamku tutejszym, a pochowano ją nawet bez nadgrobka, niewiadome więc nawet miejsce w kościele w którem złożono zwłoki fundatorki téj wspaniałéj budowy. Córka jéj jedynaczka Regina, wniosła w posagu mężowi hr. Ernestowi Purgstallowi zamek i wspaniałe dobra po matce. Z dwóch ich synów starszy zmarł bezpotomnie, młodszy wstąpił do zakonu Jezuitów pod imieniem O. Adalberta. Jezuici korzystając wtedy ze zręczności z Adalbertem na czele sięgnęli po obszerne Purgstallowskie dobra, lecz odezwała się jednocześnie i boczna czeska linja Purgstallów o ten spadek, rozpoczął się więc długi i zacięty proces, który wygrał dopiero w 1713 roku jeden z czeskich Purgstallów, hr. Wacław-Karol, rozumie się opłaciwszy się sowicie Jezuitom. W 1817 r. wygaśli i ci Purgstallowie, a 1822 od ich spadkobierców za 150 tysięcy guldenów dobra Riegersburgskie kupili Lichtenstejnowie, którzy na nich majorat utworzyli. Teraźniejszy ordynat Xiąże Franciszek, ożeniony z Potocką siostrą ministra, ogołocił piękny ten zamek ze wszystkich jego zabytków. Z tych część sprzedano przez publiczną licytację, resztę wywieziono do innych zamków Lichtenstejnowskich. Stara ta majestatyczna średnich wieków budowa, zaledwie tylko zawdzięczając klauzulom majoratu, powierzchownie jako tako jest podtrzymywaną. Jak Achilles na gruzach Troi pozostał tu tylko stary murgrabia, postać tych starych sług po wielkich zamkach, którzy lękają się uronić każdą okruszynę ich stiaży powierzoną. Z tym wesołym staruszkiem, puściliśmy się na wędrówkę po zamczysku, prawdziwie fantastyczną, bo niewyczerpanemi jego opowiadaniami przeplataną.

Olbrzymia ta budowa leży na wierzchołku nagiéj

1555 stóp wysokiéj skale bazaltowego pokładu. Na północ i na wschód otaczają ją strome urwiska skał, na zachód i na południe wały i okopy w skale wykute. Jedyny przystęp do tego zamku jest wązka w skale wykuta drożyna, mająca siedm murowanych bram na swéj przestrzeni: dziś z powodu rozpadlin w kamieniach droga ta dla pieszych tylko dostępna.

Już od początku wzniesienia swego, zamek ten silnie obronny być musiał, a geograficzne położenie jego, już samo stworzyło mu rolę dziejową jaką odegrał. W. 1329 r. Agnieszka Meran, trzecia żona Hercoga Fryderyka Kłótliwego (des Streitbaren) schroniwszy się do Riegersburga, długo w jego murach opierała się, oblegającym ją wojskom Cesarza Ferdynanda II. Z upływem wieków runęły jednak te fortyfikacje, Erazm bowiem Stadl wielkie koszta położył na przyprowadzenie ich do stanu obronnego, następnie Gallerowa szesnaście lat nad temże samem pracowała. Zięć jéj Ernest hr. Purgstall, najwięcéj tu robót dokonał, jego dziełu okolica napadami trapiona, zawdzięczała swe schronienie w murach tutejszego zamku. Rząd w 1684 r. mianował go komendantem Riegersburga ze stopniem pułkownika w wojskach cesarskich.

(d. c. n.)

Korespondencja ze Lwowa.

Maj bez słońca i zieleni — Majówki studenckie, ich reforma — Pokrycie Pełtwy — Zmowy piekarzy, krawców i stelmachów. — Gazeta Literacka — Pani Modrzejewska — Akademja nauk i umiejętności w Krakowie — Kraków a Lwów — Lwowski uniwersytet — śp. major Karol Kühne i jego zbiory.

Jakiś biurokrata austrjacki, po kilkunastoletnim pobycie w Galicji scharakteryzował klimat jéj w ten sposób, że zima trwa tam ośm miesięcy, a w dalszych czterech miesiącach zimno ciągle dokucza. Gdyby ten poczciwy Niemiec dotąd przebywał we Lwowie mógłby tryumfować, bo w tym roku jego złośliwa przesada w charakterystyce zbliżyła się bardzo do prawdy. Po kilkumiesięcznéj twardéj zimie, spotkaliśmy się i w tym roku z dość powszednią u nas niespodzianką tj. nie doczekaliśmy się wiosny, któraby bodaj w części przypominała ową porę pełną kwiecia i zieleni, owianéj świeżym tchem obudzonéj z letargu przyrody, opiewanéj przez różnych poetów tyle razy i do tego jeszcze w tak uroczy sposób. Tegoroczna wiosna silała się widocznie na to, ażeby nam więcéj dokuczyć mogła niż długa i sroga zima. Zamiar ten udał się bo kilkutygodniowa, nieustanna słota przeplatana majowym śniegiem, obudziła powszechną tęsknotę za zimą, która uwalniała nas przynajmniéj od błota zalegającego z imponującą obfitością niebrukowane ulice i place lwowskie. Dopiero w ostatnich dniach maja opamiętała się przyroda i uraczyła nas ciepłem i słońcem wiosennem.

Minął tedy maj bez majówek i wycieczek, które corocznie urządza prawie każde towarzystwo lwowskie. Tylko towarzystwo gimnastyczne „Sokół" urządziło dotąd majówkę, a reszta planów podobnych odłożoną została do czerwca. W czerwcu tedy będziemy zapewnie mieli cały szereg spóźnionych, ale niemniéj przez to ochoczych majówek, za któremi od kilku lat publiczność lwowska przepada. Mianowicie majówki trzech lwowskich gimnazjów, wprowadzone w zwyczaj dopiero od trzech lat, zaskarbiły sobie wielkie względy u naszéj publiczności, która bardzo dobrze się bawi na tych corocznych wycieczkach. W tym roku jednakże majówki studenckie niedozuają może tak wielkich względów, bo krajowa Rada szkolna urzędownie poleciła dyrektorom gimnazjalnym, ażeby wycieczki te urządzone były w sposób najskromniejszy. Ta instrukcja pojawiła się jeszcze w roku ubiegłym, ale tak późno, że dopiero w tym roku w zupełności wykonaną być może. Instrukcja ta jest bardzo stosowną i pożądaną, chociaż pozbawić może majówki zupełnie dawnego ich uroku. Dotychczas bowiem urządzano wycieczki z wielką pompą i hałasem. Młodzież na miesiąc przed terminem wycieczki mniéj myślała już o nauce, a natomiast zajmowała się wybieraniem różnych komitetów i gospodarzy, zbieraniem składek i układaniem planu zabawy. W oznaczonym dniu całe gimnazium poprzedzone muzyką wojskową ruszało w wojskowym szyku za rogatki lwowskie. Pod wieczór piękniejsza połowa ludności spieszyła za nimi do obozu i tańczono do późnéj nocy na jakiejś łące, bo Lwowianki tak są skore do tańca, że obejdą się z łatwo bez gładkiéj posadzki. Do tego jeszcze młodzież wybierała się zawsze z kilka furgonami, w których obok różnych przysmaczków znajdowały się także i wcale niepotrzebne napoje. Majówka w ten sposób urządzona, mogła bardzo łatwo przy wrodzonéj młodemu wiekowi niesforności, wyrodzić się w anarchiczny wybryk, a ponieważ profesorowie nie chcąc mącić powszechnéj zabawy podczas majówki musieli stać się pobłażliwymi, więc anarchia ta nabierała pewien pozór legalności, co ją tem niebezpieczniejszą robiło. Z tego powodu Rada szkolna widziała się spowodowaną, zapobiedz możliwym wybrykom i kazała zastąpić taniec piłką albo inną zabawką odpowiedniejszą młodemu wiekowi gimnazialistów.

Mówiąc o wycieczkach i spacerach niepodobna pominąć klęski, która spotkała publiczność lwowską. Miasto rozpoczęło pokrycie Pełtwy i wskutek tego zamknęło dla publiczności najpiękniejszą część wałów, na które zwożą ziemię i kamienie. Ponieważ pokrycie Pełtwy zajmie lat kilka, więc coroczne pozbawieni zostaniemy kawałka ulubionéj przechadzki.

Manja zakładania nowych pism na miejsce niedawno zwiniętych, dotąd jeszcze nie przestała trapić lwowskich wydawców. Obok *Woli* o któréj donosiłem, powstało we Lwowie nowe pismo trzy razy na miesiąc wychodzące pod napisem *Gazeta Literacka*. Spotykamy się w niéj z firmą dotąd zupełnie nieznaną. Redaktorem jest bowiem p. J. Śliwiński, a wydawcą p. L. Wisłocki. *Gazeta Literacka* sądząc po pierwszym numerze pragnie zastąpić *Dziennik Literacki* zwinięty przed kilku miesiącami. W przedmowie pierwszego numeru wydawcy tłumaczą się, dlaczego niezrażeni niepowodzeniem naszych pism literackich rozpoczęli wydawnictwo swoje. Tłomaczenie to na pozór jest bardzo słusznem. Co dawniéj było przedwczesnem, to dzisiaj jest na czasie mówią wydawcy. Ale co było wczoraj przedwczesnem niezawsze przestaje być przedwczesnem pojutrze. Zresztą każdy z naszych niefortunnych wydawców pism literackich, przy rozpoczęciu swego wydawnictwa łudził się niezawodnie takiem samem zdaniem. Ale bardzo prędko przyszli do przekonania, że ta przedwczesność podobnych przedsiębiorstw nie ustąpi tak rychło.

Pani Modrzejewska prawdziwe tortury zgotowała naszéj publiczności, która długo i niecierpliwie czekała na jéj przyjazd, a doczekawszy się wreszcie téj przyjemności, spotykała się przez cały pierwszy tydzień z doniesieniami teatralnemi, że znakomita artystka z powodu chrypki uporczywéj wystąpić nie może na scenie. Dopiero w tydzień po swoim przyjeździe do Lwowa, wystąpiła pani Modrzejewska po raz pierwszy Adrjanie Lecouvreur, zaraz potem w Froufrou. Publiczność była na obu tych przedstawieniach formalnie zentuzjazmowaną.

Podręczne pismo cesarskie polecające ministrowi oświecenia porozumieć się z Krakowskiem towarzystwem naukowem, w celu zamienienia téj instytucji w akademię nauki i umiejętności z siedzibą w Krakowie, jest bardzo doniosłym faktem dla nauki. Dr. Majer bawi już obecnie w Wiedniu i prowadzi układy z ministerstwem, w celu rychłego zreorganizowania życzenia cesarskiego. Nasz Lwowek, który dotychczas zazdrości wszystkiego Krakowowi, umiał ocenić doniosłe znaczenie téj sprawy i zaparłszy się zupełnie swych partykularnych zachcianek przyznaje, że Kraków wybrany słusznie na siedzibę najwyższéj w kraju instytucji naukowéj. Kraków stał się teraz faktycznie centralnem ogniskiem naukowem całéj Galicji, a Lwów musi się stanowczo zadowolić tem, że jest stolicą kraju pod względem politycznym i administracyjnym. Lwów bowiem nie ma ani jednego wyższego zakładu w komplecie. Tutejsza technika stoi bardzo nizko, a uniwersytet nie ma dotąd jeszcze wydziału medycznego, gdy tymczasem Kraków ma Jagieloński uniwersytet, ze wszystkiemi wydziałami. Nadto jeszcze uniwersytet Jagieloński przewyższa lwowski pod względem sił naukowych.

Przy téj wzmiance o obu naszych uniwersytetach, dotknąć muszę sprawy, którą dziennikarstwo oddawna żywo się zajmuje a obecnie gorliwiéj niż kiedykolwiek porusza. Lwowski uniwersytet nie może się podźwignąć, bo dotąd nie zaprowadzono w nim reform, które są niezbędnemi w obec zmian i przewrotu dokonanego na polu wewnętrznéj polityki austryjackiéj. Wykłady na uniwersytecie naszym odbywają się dotąd jeszcze po większéj części w języku niemieckim, który od trzech lat wyrugowanym już został ze wszystkich szkół i urzędów. Wydział prawniczy jest jeszcze szczęśliwszym, bo posiada przynajmniéj kilka katedr polskich i dwie ruskie, ale na wydziale filozoficznym dzieją się rzeczy niesłychane. Z wyjątkiem dwóch katedr polskich (dr. Małeckiego i dr. Liskego) i jednéj ruskiéj (dr. Ogonowskiego) wszystkie zresztą katedry obsadzone są Niemcami. Jestto anomalia śmieszna a przytem wielce szkodliwa. Akademik bowiem słuchając w gimnazjach wykładów polskich, nie może tak prędko przyswoić sobie niemiecką terminologję naukową, ażeby z ciężkich wykładów niemieckich profesorów mógł odnieść rzetelną korzyść. Po skończonym kursie trzechletnim, akademik zostaje profesorem gimnazjalnym i musi znowu zawiesić na kołek całą mozolnie nabytą terminologję niemiecką i wykładać po polsku. Patrzący zdala na tę sprawę posądziłby rząd o rozmyślne utrudnianie nauki i tamowanie postępu. Tymczasem jestto tylko jedno z rozlicznych fatalnych konsekwencji ustawionego prowizorjum, którego Austrja stanowczem uregulowaniem wewnętrznych stosunków, pozbyć się nie chce albo nie może. Na szczęście anomalja ta skończy się już w przyszłym roku, bo ustawodawstwo o uniwersytetach należeć będzie do sejmu, a gdyby to nie nastąpiło, ministerstwo w drodze administracyjnéj zaprowadzi większy ład.

Na miasto Lwów spadła cenna sukcesja. W pierwszych dniach maja zmarły w Bernie na Morawie pensjonowany major wojsk austryjackich Karol Kühne, zapisał miastu naszemu swoje zbiory obrazów i starożytności.

Śp. Kühne urodził się w Złoczowie pod Lwowem Rodzice jego byli niemieckiéj narodowości ale ś. p. Karol tak się przywiązał do swego kraju rodzinnego że ciągle marzył tylko o tem, ażeby mu zostawić jakąś pamiątkę po sobie. Z podziwienia godną troskliwością zakupywał nieboszczyk cenne obrazy, cenne dzieła sztuki i starożytności, a wszystko to dla kra-

ju w którym się rodził. Pierwotnie zbiory te przeznaczył zacny właściciel dla zakładu imienia Ossolińskich, któremu już w roku 1858 przysłał z Bernu bardzo cenny podarunek a mianowicie: karton z 400 szkicami, trzy kamee wielkiéj wartości (z wizerunkami Rafaela i Leonarda da Vinci), 30 sztychów z oryginalnych rysunków Rafaela i następujące obrazy olejne: „Wydobycie Mojżesza z Nilu" Murilla, „Uczta Bogów" Rubensa, „Wskrzeszenie Łazarza" Rembrandta, „Dziewczyna i pasterz" Jul. Romano, „Zesłanie Ducha św." Giorgione, „Bitwa" Bourguignona, „Adam i Ewa" Varotarego, „Dziewczyna modląca się" Sebastiana Couchy.

Zakładowi Ossolińskich zapisał ś. p. Kühne w pierwszym swoim testamencie resztę zbiorów, ale po śmierci znaleziono drugi późniejszy, a tem samem jedynie ważny testament w którym miasto Lwów ustanowione zostało sukcesorem. Rada miejska wysłała już do Berna jednego z członków swoich dla obejrzenia tych obrazów, ale sprawozdawca ten nie będąc znawcą nie potrafił ich należycie ocenić. Zapewnie zbiory te rychło sprowadzone zostaną do Lwowa, a wtedy będę miał sposobność podać o nich bliższe szczegóły.

Br. Ł.

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rosyjskiego.

(Dalszy ciąg.)

Astachof powstał, obejrzał się i ujrzał naprzód dwie dziewczynki, lat około 10 w różowych płóciennkowych sukienkach i w kapeluszach z dużemi skrzydłami, zręcznie wbiegające po schodkach wystawy. Wkrótce za niemi zjawiła się panna lat około 20, wzrostu wysokiego, pełnych lecz zgrabnych kształtów, w ciemnéj sukni. Weszły wszystkie do pokoju, a dziewczynki grzecznie gościowi ukłoniły się.

— Oto rekomenduję, przemówił gospodarz moje córki.

Ta zowie się Kasia a ta Nastusia, a to moja krewna Marja Pawłowna, o któréj miałem przyjemność wspomnieć panu. Proszę zachować w łaskawéj pamięci.

Włodzimierz Siergiejewicz ukłonił się Marji Pawłównie, która odpowiedziała na jego ukłon zaledwie dostrzedz się dającem skinieniem głowy. Marja trzymała w ręku otwarty duży nóż ogrodniczy. Gęste, czerwonawe włosy z lekka nad czołem były roztargane, a pomiędzy nie zaplątał się jakiś listek zielony; z tyłu głowy warkocz wysunąwszy się z pod grzebienia spadał na ramiona, śniadą twarz miała zarumienioną, a usta różowe nieco rozwarte. Suknia także była w lekkim nieładzie. Oddychała prędko: widać że w ogrodzie pracowała i to nie dla zabawki. Po niemem powitaniu gościa, wyszła natychmiast z pokoju, a za nią pobiegły dziewczynki.

— Poszły uporządkować nieco toaletę, powiedział stary zwracając się do Astachowa, inaczéj być nie może.

Astachof uśmiechnął się na to i potem lekko zamyślił. Marja Pawłowna widocznie go zajęła; dawno nie widział tak czysto ruskiéj, stepowéj piękności. Wkrótce powróciwszy siadła w milczeniu na sofie a choć włosy uporządkowała, lecz sukni nie zmieniła, nie włożyła nawet mankietek. Rysy jéj twarzy wyrażały nie dumę, ale raczéj surowość prawie odpychającą; czoło miała szerokie i niskie, nos krótki, prosty, słaby uśmiech niekiedy osiadał na ustach, proste brwi wzgardliwie chmurzyły się, a duże ciemne oczy trzymała zawsze ku ziemi spuszczone. Jéj młoda surowa twarz zdawała się mówić, wiem że patrzycie na mnie, patrzcie kiedy wam się podoba, ale to mnie nudzi niesłychanie. Kiedy jednak podniosła oczy, spojrzenie jéj miało w sobie coś dziko-pięknego i błędnego zarazem, przypominającego wzrok łani. Zbudowana była wspaniale, poeta klasyk porównałby ją do Cerery lub Junony.

— Cożeście robiły w ogrodzie? zapytał Ipatof pragnąc wciągnąć ją w rozmowę.

— Obrzynałyśmy suche gałązki i kopały grzędy, odpowiedziała trochę niskim, lecz przyjemnym i dźwięcznym głosem.

— A cóż bardzo się zmordowałaś?

— Dzieci zmordowały się, ale ja to nie.

— Wiem o tem, odezwał się stary z uśmiechem; ty u mnie prawdziwa jakby na wyrobku komornica! A u babci byłyście?

— Byłyśmy, ale zastałyśmy ją śpiącą.

— Czy pani lubisz kwiaty, zapytał Astachof podsuwając się ku Marji.

— Lubię, odrzekła krótko.

— Ale dla czego kapelusza nie bierzesz wychodząc do ogrodu? zapytał ją Ipatof; zobacz jak roczerwieniłaś się i opaliła.

Marja milcząc przesunęła ręką po twarzy. Ręce jéj nie były wielkie, lecz i nie zamałe i dosyć czerwone, nie nosiła bowiem wcale rękawiczek.

— Jak widzę, lubisz pani i prace ogrodowe, odezwał się znowu Astachof.

— Tak jest, lubię.

Włodzimierz Siergieicz zaczął opowiadać o bardzo pięknym ogrodzie, będącym w jego sąsiedztwie u bogatego obywatela N. Przy téj sposobności powiedział, że główny ogrodnik Niemiec, otrzymuje saméj pensji dwa tysiące rubli srebrem.

— A jak się zowie ten ogrodnik? przerwał Jan Ilicz.

— Nie pamiętam, zdaje się Meier czy Miller, ale dla czego się pan pytasz?

— Tak sobie, odpowiedział Jan Ilicz, chciałem wiedzieć nazwisko. Astachof zaczął daléj opowiadać. Córeczki Michała Mikołajewicza weszły po cichu i w milczeniu zaczęły przysłuchiwać się.... W tem, służący pokazał się we drzwiach i oznajmił o przybyciu Jegora Kapitonicza.

— A prosić, prosić! zawołał Ipatof...

Wszedł stary już, maleńki, tłuściuchny człowieczek z twarzyczką nalaną i pomarszczoną zarazem, w kształcie pieczonego jabłka. Na nim była szaraczkowa węgierka z czarnemi sznurami i stojącym kołnierzem; szerokie, bajowe szarawary niedostawały o wiele do kostek:

— Witaj, najzacniejszy Jegorze Kapitoniczu, zawołał Ipatof idąc na jego spotkanie, wieki już jakeśmy się nie widzieli.

— A cóż, Michale Mikołajewiczu, odrzekł Jegor Kapitonicz, sapiącym i płaczliwym głosem ukłoniwszy się pierwéj obecnym, czyż to ja swobodny człowiek?

— Jakto, a czemuż nie?

— A cóż, rodzina, interesa... a do tego jeszcze Matréna Matfiejewna.... i machnął ręką jakby już wszystko powiedział.

— Jakto Matrena Matfiejewna?

To mówiąc Ipatof zlekka skinął na Astachowa, aby wcześniéj obudzić jego uwagę.

— Rzecz wiadoma, odpowiedział Jegor Kapitonicz siadając: zawsze ze mnie niezadowolona, przecież i wy wiecie to bardzo dobrze. Co tylko powiem, wszystko nie tak, niedelikatnie, nieprzyzwoicie. A dla czego nieprzyzwoicie? Bogu tylko wiadomo. I panienki, to jest moje córki, toż samo z matki biorą przykład. Nie przeczę, Matrena Matfiejewna najzacniejsza kobieta, ale kiedy idzie o manjery to już zanadto wymagająca.

(d. c. n.)

Ogłoszenie od Redakcji Przyjaciela Dzieci.

W kwartale trzecim r. b. Przyjaciel Dzieci pod temi samemi co dotąd warunkami z dodatkiem półarkuszowym, poświęconym albo powieści, albo artykułom dla mniejszych dzieci przeznaczonym. Od czasu do czasu dawać będziemy rysunki Franciszka Kostrzewskiego, który chętnie przyrzekł nam stałą swoją pomoc: zaprowadzimy także ważne ulepszenia w illustracji i rozpoczniemy szereg niezmiernie ciekawych opowiadań historycznych, ułożonych z prac pierwszorzędnych, powieściarzy angielskich, francuzkich, niemieckich i włoskich.

Prenumerata wynosi kwartalnie:
W Warszawie kop. 75.
Na Prowincji rs. 1.
Adres ten sam co dla Tygodnika Mód.

Opis ryciny kolorowéj.

Figura I. Suknia z popielatéj materji jedwabnéj, garnirowana szerokim fałdowanym wolantem i ruszą. Paletot z ciemno-brązowego aksamitu wcinany do figury, spięty z przodu na guziki, rozcinany na bokach. Garnirunek składa się z szerokiéj i wązkiéj koronki oraz pliski atłasowéj.

Kapelusz z brązowéj słomy angielskiéj, przystrojony piórem strusiem i ruszą z materji brązowéj.

Figura 2. Negliż z kaszmiru białego powłóczysty, przybrany niebieską materją. Garnirunek przednie bryta szeroki u dołu, zwęża się stopniowo do stanu i naszywa niebieskiemi guzikami. Stanik z karoczkiem zrobiony zupełnie do figury, dodaną ma fałdę na plecach „à la Watteau". Rękawy wązkie, drugie szerokie otwarte. Pasek n[illegible]eski dopełniony szarfą wiązaną na boku.

KORESPONDENCJA.

Czterech panów prenumeratorów zgłaszających się o niedoszłe do nich numera Tygodnika Mód a mianowicie o Nr. 7, 8, 17 i Nr. 50, 51, 52 z roku zeszłego, upraszamy o nadesłanie swych adresów, gdyż w listach od nich odebranych, nie ma wyraźnéj miejscowości zkąd przesłane zostały, podpisów zaś nikt odcyfrować nie może.

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*h*). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

— O ile nie mylą mię obserwacje, jakie czyniłam na ludziach, każdy człowiek ma wytknięty przed sobą stały cel jakiś, który najlepiéj odpowiada jego potrzebom i wymaganiom, który skupia w sobie wszystkie jego usiłowania i do którego bezprzestannie dąży. Jedni naprzykład zamierzają sobie przedewszystkiem zostać wysoko cnotliwymi i uczonymi ludźmi, inni wspinają się z całéj siły po drabinie zaszczytów społecznych lub politycznych, dla innych jeszcze ziemia ze wszystkiemi powabami swemi nie starczy, a najwyższy cel do jakiego dążą, przedstawia się im jako aureola wieńcząca skronie świętych, albo złota lutnia na któréj w niebie wygrywają sobie przez wszystkie wieki wybrani pańscy. Co do mnie nigdy nie byłem poetą i nie zakreślałem sobie tak wzniosłych i świętych celów.

Natura obdarzyła mię rodzajem umysłu, będącym może w pogardzie u teologów i poetów, niemniéj jednak prowadzącym do rzeczy gruntownych i pożytecznych. Nie pragnąc być ani cnotliwym, ani uczonym, ani mężem stanu, ani świętym, zapragnąłem zostać miljonerem. Wstrzymał się na moment, wyżéj podniósł głowę, a na policzki zaczęły mu występować zwolna ceglasto-różowe plamy.

— Spostrzegam, ciągnął po chwili z coraz rozszerzającym się uśmiechem, spostrzegam zdziwienie na twarzy pani, połączone z chęcią dowiedzenia się, jakim to sposobem człowiek marną mamonę położyć sobie może za główny i jedyny cel życia? Rozmowę z tak młodą i piękną damą, uważam sobie za przyjemność i zaszczyt, nie mam więc powodu ją skrócać i z chęcią podejmuję się wytłumaczyć jéj samego siebie. Człowiek, szanowna pani, czy to z natury swojéj czy w skutek przyzwyczajeń i pojęć przez długie wieki panujących w ludzkości, posiada przyrodzoną cześć dla potęgi i pragnienie osiągnienia jéj dla siebie. Ta cześć i to pragnienie tłomaczy nam wszys'kie prawie zjawiska w dziejach ludzkości, tak przeszłych jak teraźniejszych. Potęgi pragnęli wszyscy wielcy wojownicy, męczennicy, założyciele religji, reformatorowie, demokraci, arystokraci, filantropi, zakonnicy. Zrzekali się często sami jéj znamion i dążenia swoje odziewali imieniem: ojczyzny, wiary, ludzkości, niemniéj jednak pragnąc zwycięztwa, a zatem potęgi dla tych wybranych przez się idei, pragnęli jéj dla siebie, bo tak się z niemi zjednoczyli, że stały się one ich krwią i duszą. W dzisiejszym także wieku, potęgi wiedzy pragnie astronom całe życie patrzący w gwiazdy, do potęgi władzy dąży mąż stanu, potęgę chwały zdobywa wojownik, o potędze świętości marzy pobożny, potęgi powabów szuka kobieta studjująca źwierciadło, są ludzie którzy wcielenie potęgi ujrzeli w miljonach, a do tych ja należę. Pozycja miljonera najlepiéj odpowiada przyrodzonym moim potrzebom i do niéj zatem dążę. Nie lubię zbytków jakich ona dostarcza: złoto, brylanty, aksamit i palisander mają w oczach moich o tyle ceny, o ile przedstawiają realną na brzęczącą monetę dającą się zamienić wartość. Jestem człowiek prosty i mam skromne przywyknienia i gusta. Nigdy nie posiadałem zmysłu wyrafinowanego piękna. Najulubieńszym pokarmem moim jest prosty chleb i wołowina, najwygodniejszą odzieżą grube sukno, siedzieć zaś mógłbym równie wygodnie na drewnianéj ławie, jak na adamaszkiem wybitym fotelu. Podobnie skromnych usposobień potrzebuje tak kandydat do chwały niebieskiéj, jak pretendent do berła miljonów.

Jestem ostatnim i nie lubię zbytków ale berło jest mocno w moim guście. Od dzieciństwa byłem zawsze blady, szczupły, niewyraźny i to mi ułatwiało czynienie spostrzeżeń, bo nikt nie myślał ukrywać się przed tak niewyraźną istotą. A byłem przy tem bardzo uważny. Pamiętam że miałem lat ośm, do domu moich rodziców, przyszedł po żebraninie starzec obdarty, chudy, z pooranem czołem i zapadłemi oczami. Spytany kimby był odpowiedział iż przez całe życie studjował fizykę, astronomję, chemję i już niewiem co więcéj, że nawet o tem wszystkiem wiele ksiąg napisał, za które gdy jednak licho mu płacono, na starość został żebrakiem. Patrzyłem na brudne łachmany i błyszczące od głodu oczy nędzarza i pomyślałem sobie: „nie będę uczonym, wolę być miljonerem.“ Innym razem w rynsztoku pewnego miasta ujrzałem tarzającego się w pijaństwie człowieka, którego jednak powierzchowność niezupełnie wydawała się pospolitą — nawet w smutnym stanie w jakim zostawał. Dowiedziałem się potem, że był to stary żołnierz, który za młodu dokazywał cudów waleczności, otrzymał kilka cięć w głowę i kilka zaszczytnych znamion na piersi, a po upadku idei za którą walczył, rozpił się z rozpaczy i nędzy. „Nie dobry jest stan rycerski, pomyślałem sobie, wolę być miljonerem!“ Do domu rodziców moich przybywało mnóstwo ludzi, a zawsze widziałem, że ci bywali najświetniéj przyjmowani którzy byli najbogatsi.“ „Przyjm go uprzejmie, mawiał ojciec mój do mojéj matki o jakimś oczekiwanym gościu, przyjm go uprzejmie bo to miljoner!“ „Henrysiu, powiadano do mnie, ukłoń się temu panu bardzo uprzejmie, bo to miljoner!“

Sąsiedzi moich rodziców nieraz rozmawiali pomiędzy sobą: „Ten X. to wielki łotr ale... miljoner“ i bardzo uprzejmie ściskali ręce panu X. Kiedy miałem lat 18 bardzo mi się podobała pewna panna. Wziął ją sobie za żonę człowiek brzydki jak ja, a w dodatku łysy i głupi. Wszyscy mówili: „nic w tem dziwnego! wszak to miljoner.“ Mając lat 20 powiedziałem sobie stanowczo i nieodwołalnie: zostanę miljonerem. W parę lat potem ojciec mój umarł, a śmierć jego czyniąc mię dziedzicem sporego majątku, otworzyła mi drogę do pożądanego celu. Teraz uszedłem na téj drodze spory już kawał i cofać się ani zboczyć, nie jest wcale mojem życzeniem. Zresztą gdybym nie dążył do miljonów, nie wiem doprawdy do czego mógłbym dążyć. Natura nie zbyt szczodrą naprawdę pokazała się dla mnie.

Do zaciekania się w naukowych księgach nie mam najmniejszych zdolności, odwagi fizycznéj niezbędnéj rycerskiemu zawodowi pozbawiony jestem zupełnie, ulubieńcem kobiet nigdy nie byłem i nie dziwię się temu bynajmniéj ile razy patrzę w źwierciadło. Być zaś niczem, nie zgadza się bynajmniéj z moją wrodzoną czcią dla potęgi, którą zresztą podzielam ze wszystkiemi prawie mymi bliźnimi...

Umilkł znowu na moment, jeszcze wyżéj podniósł głowę i kończył rzecz swą temi słowy:

— Był w okolicy téj pewien człowiek, jednego prawie ze mną wieku, ale wcale do mnie niepodobny. O ile ja byłem blady i niewyraźny, o tyle on był świetny i wybitny. Imię i nazwisko posiadał brzmiące i niepospolite, błyszczał powierzchownością, dowcipem, śmiałością, hojnem rozrzucaniem wkoło swego mienia, dobrym gustem i światową dystynkcją. Bywał w Paryżu, uczył się śpiewać we Włoszech, grał na wiolonczelli jak aniołowie, polował nawet na lwy w Egipcie i zabijał Beduinów w Algerji. Kobiety szalały za nim. Ja przesuwałem się obok niego jak cień niewyraźny, on podobny był do bożka, ja do glisty. To też patrzył na mnie często jak bożek na glistę, a jeśli nie okazywał mi wyraźnie że ma mię za wielce liche stworzenie to tylko, że z prawa urodzenia mego zaliczałem się do przyzwoitego towarzystwa. Co do mnie, po cichu i nieznacznie notowałem sobie w pamięci wszystkie lekceważące spojrzenia i półsłówka, jakiemi mię obdarzał świetny sąsiad, aż przyszła chwila w któréj mogłem mu powiedzieć: „wychodź z domu twego na żebraninę i nędzę, ja jestem panem twego utraconego przez cię mienia!“ I mocą bogactwa mego zamieszkałem w jego gotyckim pałacu, a gdy o żebranym niemal kiju opuszczał swą ojcowiznę spytałem go: „teraz kto z nas świetniejszy?“

Szczególna metarmofoza odbywała się w Henryku gdy mówił te słowa. Powstał, wyprostował się, ceglaste plamy na policzkach ciemniejszego nabierały koloru, niewyraźny uśmiech stawał się coraz bardziéj wybitnym. Po kilku sekundach milczenia mówił daléj:

— Była w okolicy naszéj pewna panna, młoda, śliczna, zajmująca i dowcipna. Od pierwszego spojrzenia tak mi się podobała, że obawiałem się doprawdy aby się nie stać romantykiem na dobre i celu mego nie stracić z oczów. Doświadczyłem nawet kilka chwil prawdziwie uczuciowych i zdaje mi się, że parę razy spojrzałem na księżyc, myśląc że i ona na niego patrzy! Była to wielka niedorzeczność z méj strony, przyznaję, niemniéj jednak popełniałem ją. Czyniłem więcéj: stawałem zawsze przy fortepjanie kiedy grała i słuchałem jéj gry, jako zdecydowany konkurent, raz nawet przypominam sobie wydało mi się, jakobym rozumiał muzykę—jéj muzykę. Była to panna i bogata i uboga zarazem, ponieważ matka jéj posiadała znaczne, ale mocno odłużone dobra. Te pomimo tego kapitalnego ciężącego na nich grzechu, mogły być dla mnie bardzo z pewnych względów korzystne, co godziło mię do reszty z moim affektem. Oświadczyłem się. Powiedziałem że kocham i mówiłem prawdę, ale musiałem to powiedzieć w tak niezgrabny sposób, że śliczna panna roześmiała się na głos i odbiegając od krosienek w których wyszywała, rzekła mi na pożegnanie: „daremnie przedłużalibyśmy tę rozmowę, która ani mnie ani panu przyjemną być nie może.“ Oddaliłem się niepostrzeżony i niezałowany, potem ożeniłem się nawet z inną, ale nie zapomniałem. Mocą bogactwa mego zostałem panem mienia i losu matki ślicznéj panny i dałem do zrozumienia, że gdyby ona

sama raczyła pomówić ze mną, a ja patrząc na jéj dumne czoło, zachmurzone przymusem, przenikając niepokojem przyśpieszone bicie jéj serca, odgadując łzę upokorzenia która daremnie kryła się przed mem okiem pod jéj piękną rzęsą, to miałbym, przyjemność ukłonić się jéj i powiedzieć: Pani, jestem uniżonym jéj sługą, ale nie uczynię tego czego odemnie żądasz i nie zostawię dachu nad głową twojéj matki. Nie wiedziałaś zapewne o tem, że obrażony konkurent jakkolwiek napozór blady i niczem się nieodznaczający, jest wielce niebezpiecznem zwierzęciem i że lada dzień może on zdobyć prawo zapytania wesołą i dowcipną pannę: pani! na kogo z nas dzisiaj przyszła koléj śmiechu?"

Metamorfoza była zupełną. Henryk stał przedemną wyprostowany, z małego wysoki, ze szczupłego barczysty: ceglaste plamy rozpostarły się po całych policzkach, wązkie wargi roztwarły się wyraźnym już uśmiechem ironji i tryumfu, a oczy tak silnie zagorzały, że przez szkła szafirowe widać było blask żółtych źrenic.

Zdjęta oburzeniem i wstrętem powstałam i nieznajdując słów, któremi bym temu człowiekowi odpowiedzieć mogła, postąpiłam parę kroków zmierzając ku drzwiom, ale spojrzenie jakie mimochodem rzuciłam na Rudolfa, przykuło mię do miejsca. Ze zrumienioną twarzą, z iskrzącemi się oczami, z czołem podniesionem i groźną zmarszczką przedzielonem, Rudolf ciężką rękę oparł na ramieniu Henryka, który stał jeszcze pogrążony w ekstazie, w jaką wprawiło go to co mienił być swym tryumfem.

— Czy dążeniom pańskim do szlachetnego celu zostania miljonerem cudzym kosztem, nic nigdy na przeszkodzie nie stanęło? zapytał patrząc mu w twarz z nieopisanym wyrazem.

Henryk nie zmieszał się bynajmniéj, tylko zdawało się, że ocknął się nagle ze swéj ekstazy, bo w mgnieniu oka zmalał znowu, zeszczuplał, pobladł a żółtawe błyski zgasły zupełnie, za szafirowemi szkłami.

— Staram się zawsze zostawać w zgodzie z prawem, odpowiedział na pytanie Rudolfa zupełnie obojętnie.

— I nigdy nie spotkałeś pan na drodze do swoich celów czegoś, przed czem by zadrżała ręka twoja i sumienie? ponowił pytanie Rudolf głębiéj jeszcze wpijając wzrok w twarz młodego człowieka.

Słaby odcień zwiększonéj bladości przemknął po twarzy Henryka, ale wnet ustąpił. Wskazał rękę na plikę papierów, które był przed chwilą wyjął z szuflady, a które jak domyślałam się tyczyły się spraw mojéj matki i odpowiedział z zimną krwią:

— Jestem w zupełnéj zgodzie z prawem.

Rudolf zdjął rękę z jego ramienia, odstąpił parę kroków i wyciągając wskazujący palec ku biórku na które worzódy z takim patrzył wytężeniem, wymówił przytłumionym, przeszywającym głosem.

— A to biórko nic ci nie przypomina?

Na te słowa ku wielkiemu memu zdziwieniu Henryk zbladł, i oparł się ręką o poręcz najbliższego krzesła. W tym samym momencie posłyszałam szelest kobiecéj sukni, i obejrzawszy się zobaczyłam stojącą za progiem gabinetu Zosię. Chciałam się do niéj zbliżyć, ale dała mi ręką milczący znak, abym się nie ruszała i błyszczącym wzrokiem patrzyła w głąb pokoju.

Zarazem posłyszałam zimny, powolny głos Henryka mówiącego

— Trudno mi kochany panie odpowiedzieć na jego pytania; nie jestem poetą i bardzo rzadko bawię się we wspomnienia.

— A czy nie chciałbyś czasem pobawić się niemi chwilę wraz ze mną, nalegał p. Rudolf z rodzajem nieubłaganéj przekory.

— Nie pojmuję... zaczął Henryk z gestem zniecierpliwienia, ale Rudolf znowu oparł dłoń na jego ramieniu, a pod tem ciężkiem energicznem dotknięciem blady ślimak ugiął się i zamilkł, do krwi tylko przygryzając cienkie wargi.

Rudolf wyciągając znowu rękę ku biórku wyrzekł zniżonym nieco od wzruszenia głosem:

— W biórze mojem o dwóch zwierciadłach i sześcioramiennym świeczniku, utrzymywanym przez dwie bronzowe ręce, w drugiéj szufladzie po prawéj stronie od góry, otwierającéj się za pociśnięciem mnie tylko znanéj sprężyny, złożyłem sporządzony przeze mnie testament, w którym uznaję za święty i nienaruszony dług zaciągnięty przezemnie w młodości méj jeszcze od ś. p. ojca pani Matyldy X. i wypłatę jego w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, nakazuję synowi memu pod błogosławieństwem ojcowskiem. W tymże testamencie moim całe mienie moje zebrane przeze mnie samego przez długie lata trudów i oszczędności, rozdzielam w zupełnie równych częściach pomiędzy syna mego i dwie moje córki Emilję i Zenonę, nakazując pierwszemu, aby nie korzystał z prawa wyznaczającego czternastą część majątku rodzicielskiego potomkom płci żeńskiéj, ale aby obie siostry swoje dopuścił do jednostajnego ze swoim działu w funduszu, jaki po mnie zostaje. Klucz od bióra mego, jako też tajemnicę używania sprężyny w szufladce, w którą włożyłem testament, powierzyłem memu synowi z zaleceniem, aby nie otwierał ją aż po mojéj śmierci."

Oto słowa twojego ojca, które były wypisane przy świadkach, a które ja czytałem. Spostrzegał już znać twą skłonność do świetnego stanu miljonera i w przed chwilę śmierci uspokajał sumienie swoje powierzając innym to, co był powierzył tobie a co przewidywał, że jak w otchłani zapadnie w twą ciemną duszę i zniknie.

Rudolf umilkł na moment drżący cały ze wzruszenia. Henryk blady był jak ściana, ręką silnie opierał się o poręcz krzesła, bo można było dostrzedz jak kolana chwiały się i uginały pod nim. Po chwili Rudolf znowu zaczął mówić:

— Obrzydłą siecią swojéj chciwości i mściwéj natury, oplątałeś kobietę, któréj ojcu twój ojciec winien był całe mienie swoje i zamiast spełnić święty nakaz ojcowski, chcesz teraz wygnać ją z pod rodzinnego dachu...

Henryk uczynił widoczne nad sobą wysilenie, uśmiechnął się wyprostował nieco i odpowiedział dość głośno.

— W sprawie téj prawo jest za mną.

— Po śmierci ojca przekupiłeś urzędników, aby jak najniżéj ocenili jego dobra w celu zmniejszenia téj czternastéj nawet ich części, którą przeznaczyłeś siostrom...

— Prawo było za mną, przerwał z większą jeszcze pewnością siebie Henryk.

— Wydziedziczyłeś siostry twe zupełnie, a jedna z nich jeśli dom twój opuści, nie będzie posiadać codziennego kawałka chleba...

— Prawo jest za mną, raz jeszcze powtórzył Henryk.

— Prawo! wybuchnął Rudolf; jeżeli wszędzie i zawsze prawo jest za tobą powiedz, gdzie się podział testament twego ojca, który że był złożony w tym biórze, wiem tak jak o tem że żyję, jak że słońce świeci nad ziemią? Powiedz, gdzie jest testament twego ojca?

Zdawało się że p. Henryk zupełnie przyszedł już do siebie, tylko na policzkach jego ceglaste plamy występowały nagle i nagle znikały pozostawiając po sobie wielką bladość i znowu ukazując się po chwili. Milczał i uśmiechał się blado.

— Gdzie się podział testament twego ojca? pytał raz jeszcze Rudolf z większą mocą.

— Szanowny panie! myszy zjeść go chyba musiały, bo go teraz z pewnością nie ma na świecie, z nieopisaną ironją wymówił Henryk.

Rudolf wzgardliwem wejrzeniem orzucił go od stóp do głowy.

— Myszy! rzekł, nie, nie myszy go zjadły. Posłuchaj, opowiem ci pewną anegdotkę. Do wielkiego i bogatego dworu przyszła raz wieść, że ojciec rodziny dwór ten zamieszkującéj zmarł daleko od niéj w cudnych zamorskich krajach. Wkrótce potem nadeszła noc. Wszyscy w domu usnęli. Żona i małe córki zmarłego płakały, ale dom był obszerny i odgłos ich łkania nie dochodził do jednego z pokojów, w którym stało bióro o dwóch zwierciadłach i sześcioramiennym świeczniku, utrzymywanym przez ręce bronzowe. Do tego pokoju wszedł młody człowiek i zbliżył się do bióra, poruszył tajemną sprężynę i otworzyła się druga szuflada po prawéj stronie od góry. Sześcioramienny świecznik gdyby mówić umiał, opowiedział by ludziom jak na sześciu płomykach które w nim wtedy gorzały, płonął zwój papierów, zapisany ręką umierającego niemal człowieka, i jak potem zacny syn pobożnie zebrał popioły woli ojcowskiéj i otworzywszy okno rzucił je wiatrom jesiennym, aby bez śladu rozniosły je po świecie...

Rudolf urwał nagle i w pokoju stało się zupełnie cicho. Henryk zbladł znowu, palce obydwóch jego rąk konwulsyjnie zaciskały się około poręczy krzesła. Co do mnie czułam dreszcze przebiegające od stóp do głowy i nie byłam zdolną słowa przemówić. Nagle dał się słyszeć stłumiony, gardłowy chychot. Henryk ze śmiechem podniósł głowę i wymówił głosem, którego drżenia zupełnie utaić nie mógł.

— Puste słowa! mój panie, puste słowa! Prosimy o dowody, że to co opowiedziałeś nie jest prostą bajeczką, ale powtórzeniem prawdy.

Na te słowa p. Rudolf pobladł z kolei, głowa opadła mu na piersi.

— Dowody! zawołał uderzając się ręką w czoło dowody! miałem je.... Boże...

Tem nagłem zmięszaniem swego oskarżyciela do reszty już ośmielony Henryk, zaśmiał się powtórnie i zaczął mówić:

— Ze wszystkich przysłów jakie posiadamy w naszym języku, najsłuszniejsze wedle mnie jest to, które się zaczyna od słów: kocioł garnkowi przygania i t. d. Nie jestem poetą i nie umiem tak pięknych układać historji i jak ta którą pan przed chwilą opowiedziałeś, wszakże nie chcę być dłużnym i anegdotę za anegdotę opowiem.

Żył w pewnéj okolicy człowiek bardzo zamożny i ojciec licznéj rodziny. Do jednéj z córek jego przyjechała guwernantka włoszka, cudo piękności. Ojciec rodziny rozmiłował się w niéj ogromnie. Prowadzenie romansu w domowych progach pokazało się niedogodnem, Włoszka umknęła zagranicę i ojciec rodziny za nią...

Tu Henryk zatrzymał się na chwilę i popatrzył, na Rudolfa, który stał jak skamieniały, blady, z głową zwisłą na piersi tak jakby nie miał siły podźwignąć ją do góry. Henryk mówił daléj z wyrazem nieubłaganego tryumfu.

— Trzy lata ojciec rodziny podróżował po lądach i morzach z cudną uwodzicielką.... wrócił zdradzony i ubogi; utracił prawo napominania swych bliźnich bo sam kędyś na drodze zgubił swój honor, bo na jego własnem czole hańba leży, bo własne jego sumienie....

— Milcz! zabrzmiał nagle obok mówiącego głos przenikliwy i nakazujący.Na środku pokoju stała Zofja z wysoko podniesioną głową, ze zrumienionem czołem i ręką energicznie gestem wyciągniętą ku mężowi. Oczy jéj płonęły i mieniły się w różne kolory, a półotwarte koralowe wargi drżały.

— Milcz! powtórzyła cichszym nieco głosem. jeżeli zdołasz jeszcze cokolwiek na tym świecie szanować, uszanuj posiwiałe przed czasem włosy tego człowieka, bruzdy co śród burz życia poorały jego czoło, noce bezsenne, które spędzał pewnie śród zgryzoty i żałości. Winy wasze nierówne; oba jesteście winni ale tyś nie godzien rozwiązać rzemyka u obuwia jego. On grzeszył przez miłość a ty przez nienawiść, on był szalony a tyś rachował, u niego ogień w piersi a u ciebie żmija, on nakoniec mimo wszystko szlachetnym pozostał, a ty jesteś nikczemnikiem!

Wymówiła te słowa bez drżenia, pewnym i stanowczym głosem, potem szybko postąpiła kilka kroków i ujmując obie ręce Rudolfa z niewypowiedzianą słodyczą, szczególniéj kontrastującą z tonem jakim przemawiała do męża rzekła:

— Panie! stała ci się w tym domu obelga... jam niewinna... to nie mój dom...

Zwróciła się znowu do męża i uprzednim tonem wymówiła:

— Oddaj mi mój majątek...

— Jaki majątek? piękna pani, zapytał Henryk u którego kurczowe zaciskanie się palców było w téj chwili jedyną oznaką wzruszenia,jakiego doświadczać musiał.

— Nazajutrz po dniu przeklętym w którym się odbył ślub nasz świętokradzki, mówiła Zofja, brat mój wyliczył ci posag mój to jest 500,000 złotych. Oddaj mi je bo opuszczam twój dom i chcę niemi podzielić się z tymi których okradłeś...

Henryk skłonił się szydersko przed mówiącą.

— Z chęcią uczynię to czego pani żądasz odemnie, jeśli raczysz przedstawić mi prawne dowody, że żądanie twe jest słusznem.

— Prawne dowody! zawołała Zofja, jakież one być mogą?

— Dokument moją ręką napisany którym kwituję brata pani, z odebrania pomienionéj przez nią sumy...

— A więc dokument ten musi być zapewne w posiadaniu mego brata, wyrzekła Zosia więcéj do siebie jak do niego.

— Być może, odparł Henryk z okropnym uśmiechem; jeżeli więc pani przedstawisz mi takowy zwrócę posagową jéj sumę, w przeciwnym razie nie uznaję że ją otrzymałem. Prawo jest za mną. Zofja wyniosłem, iskrzącem od wzgardy i energji spojrzeniem, od stóp do głowy zmierzała człowieka, który nazywał się jéj mężem. Koralowe jéj wargi poruszyły się i stłumionym, ale przeszywającym głosem wymówiła trzy razy:

— Nikczemny, nikczemny, nikczemny!

Potem zwolna podeszła do mnie, wzięła mię za rękę i milcząc pociągnęła za sobą. Na progu stanęłam i obejrzałam się na Rudolfa. Zdawało się, że rozmowa Zofji z mężem obudziła go z ciężkiego przygnębienia w jakie pogrążyły go okrutne słowa Henryka. Stał znowu prosty, śmiały, szlachetny bólem brużdżącym mu czoło i oburzeniem pałającem w oczach.

— Młodzieńcze! wyrzekł drżącym głosem, skorzystałeś z winy ciężącéj na mojem steranem życiu, aby zamknąć mi usta na chwilę. Nie zasypiaj jednak spokojnie... bo kto wie czy mojemi odgrzebana ręką, ostatnia wola ojca twego, nie powstanie może z popiołów w jakie zamieniłeś i nie zjawi się przed tobą w postaci zbrodni, za jaką to prawo na które powołujesz się teraz, ludzi twego gatunku okuwa w kajdany...

Teraz już ja pociągnęłam za sobą Zofję i wraz z nią przebiegłszy oszkloną galerję, bezprzytomna prawie upadłam w objęcia rzewnie płaczącéj Emilki.

— Byłam w przyległym pokoju, mówiła we łzach cała, i słyszałam całą waszą z Henrykiem rozmowę. Mój Boże! mój Boże jak to okropnie mieć takiego brata! Chciałabym natychmiast ztąd wyjechać ale gdzież się podzieję? Wszak nie mam żadnego prawie funduszu! Zenia gdzieś zagranicą, Zofja nawet odjedzie, a cóż ja nieszczęśliwa tu pocznę z nim—sama jedna!

Opowiadanie Rudolfa które posłyszała przejęło ją znać taką obawą, że blada była bardzo i drżała całem ciałem. Uczułam dla niéj wielką litość, błękitne dobre jéj oczy, oblane łzami niezmiernie były smutne.

— Jedź ze mną, rzekłam ściskając jéj rękę, zamieszkasz z nami....

Wpatrzyła się na mnie ze zdziwieniem jakby mnie nie rozumiała.

— Zamieszkasz z nami, powtórzyłam, ja i moja matka będziemy ubogie, ale podzielimy się z tobą ubóstwem naszem.... Będziemy żyć razem i wzajemnie sobie pomagać... gdy siostra twoja wróci opuścisz nas jeśli zechcesz.

Emilka z okrzykiem radości rzuciła mi się na szyję. Po chwili spotkałam ją w przedpokoju ubraną jak do drogi i obie z Rudolfem usiadłyśmy do kabrjoletu. Przez jedno z okien pałacu widziałam Zosię patrzącą na nasz odjazd. Piękna jéj twarz bez łzy bez uśmiechu, okryta była wyrazem energji i nieprzełamanéj stanowczości.

XIII.

Każdy z łatwością odgadnie pod wpływem jakich wrażeń wracałam do domu. Naturalnie postanowiłam oszczędzić mojéj matce przykrych szczegółów scen, jakich byłam świadkiem, a zawiadomić ją po prostu o ostatecznym rezultacie mego widzenia się z Henrykiem. Zaraz w przedpokoju powiedziano mi, że matka moja przez cały dzień nie opuszczała swéj sypialni. Mocno zaniepokojona o jéj zdrowie, prosiłam moich gości aby weszli do bawialnego pokoju, a sama pobiegłam do niéj. Leżała na sofie z głową opartą o poduszkę i z zamkniętemi oczami. Zbliżyłam się na palcach i popatrzyłam na nią. Włosy jéj były trochę w nieładzie, ale nie wyglądała na osobę chorą. Była nawet mniéj bladą jak wczoraj. Sądziłam że usnęła i chciałam odejść, gdy nie czyniąc najmniejszego poruszenia podniosła powieki i zapytała krótko:

— No i cóż tam?

Oczy jéj były nieruchome i bez wyrazu, a głos brzmiał zupełnie obojętnie. Usiadłam przy niéj i w najbardziéj, jak tylko mogłam uspakajający sposób, powiedziałam jéj że nie możemy odtąd liczyć na żadne ustępstwa ze strony Henryka.

Wysłuchała mię nie wymawiając ani jednego słowa i nie czyniąc żadnego ruchu. Gdy skończyłam zamknęła znowu oczy i zdawała się zupełnie nie uważać mojéj obecności. Po krótkiéj chwili spytałam, czy nie ma mi co do rozkazania. Nie podnosząc powiek uczyniła gest ręką, który oznaczał, iż chciała abym odeszła. Pocałowałam jéj rękę zwisającą pomiędzy fałdami sukni i oddaliłam się pocichu.

Czułam się do najwyższego stopnia zmartwioną, tak nienormalnym stanem w jakim zobaczyłam swoją matkę. Dzisiejsza jéj apatja straszniejszą mi się wydała, jak wczorajsze nerwowe rozdrażnienie. Kiedy weszłam do pokoju w którym znajdowali się moi goście, znalazłam Emilkę zajętą już przy samowarze, około wyręczenia mnie w urządzeniu herbaty, a Rudolfa pół głosem i z wielkiem ożywieniem rozmawiającego z Władysławem, w najbardziéj oddalonéj stronie pokoju. Po chwili zbliżyli się obaj do stołu zastawionego herbatą, a zarazem na pobladłéj od kilku dni twarzy młodego prawnika, spostrzegłam niezwykłe rumieńce. Nie był jednak smutny, ale raczéj oburzony i wzruszony. Domyśliłam się, że Rudolf musiał mu opowiedzieć scenę zaszłą w jego przytomności pomiędzy Zofją a jéj mężem. Utwierdziły mię po chwili o tem mniemaniu słowa Władysława. Ocknął się z zamyślenia i zwrócony do Rudolfa zawołał jakby odpowiadając własnéj myśli: Jestem pewny że brat jéj nie posiada żadnego dokumentu! Zostanie niezawodnie odartą z całego swego mienia! Gdy to mówił brwi mu się groźnie ściągnęły, ale w mgnieniu oka rozpogodził twarz i w oczach jego rzewny odmalował się wyraz:

— Nie spodziewałem się, wyrzekł zawsze zwrócony do Rudolfa, nie spodziewałem się, aby mogła być tak energiczną!

Emilka po wzruszeniach dnia minionego, czuła się bardzo zmęczoną, to też zaraz po herbacie wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam do mojéj sypialni, gdzie wprzódy jeszcze kazałam przygotować dla niéj miejsce spoczynku. Po krótkiéj z nią rozmowie uściskałam na dobranoc moją biedną znękaną towarzyszkę, i udałam się do pokoju w którym stało moje biórko z myślą napisania listu do ojca. W całym domu cicho już było zupełnie. Wzięłam świecę i po cichu na palcach podeszłam pod drzwi sypialni mojéj matki. Czułam się o nią prawdziwie niespokojną, ale nie śmiałam wejść aby się nie stać jéj natrętną. Przeze drzwi jeszcze dochodził mię odgłos jéj stąpania, poznałam że przechadzała się po pokoju. Zapukałam lekko i nie otrzymałam żadnéj odpowiedzi. Zapukałam głośniéj trochę, również bez żadnego skutku. Słyszałam ciągle odgłos jéj stąpania i szelest jéj sukni, zbliżała się nawet do drzwi u których stałam i niepodobnem było, aby mogła nie słyszeć mego pukania. Wyraźnie pragnęła być samą i nie życzyła sobie widzieć mię w téj chwili. Odeszłam z westchnieniem bo pojęłam, że walka którą matce mojéj przyjdzie stoczyć z przeszłością i jéj pozostałościami, dłuższą i trudniejszą będzie niźli się zrazu wydawać mogło. Północ minęła a ja nie skończyłam jeszcze mego listu. Tyle miałam do opowiedzenia temu, który był dla mnie ideałem mistrza, ojca, przyjaciela, o tyle rad go prosiłam, tyle zwierzałam mu moich obaw i nadziei! Uwielbienie jakie czułam dla ojca mego porównać się tylko mogło z troskliwością z jaką kochałam matkę. Pisałam do niego o niéj, dwa ich imiona bezprzestannnie wiązały się pod mojem piórem, straciłam zupełnie pojęcie i pamięć o sobie.

Gabinet w którym pisałam przytykał do sali jadalnéj, a ta znowu prowadziła do pokojów służących zwykle dla gości. Drzwi były nie zupełnie zamknięte, a w sali paliła się jeszcze lampa, któréj niedbali nasi słudzy zapomnieli zgasić. Poczułam że ręka zabolała mię nieco od długiego pisania i na chwilę złożyłam pióro aby odpocząć, w tym samym momencie posłyszałam kroki dwóch mężczyzn przechadzających się po sali jadalnéj. Byli oni już może tam od kilku minut lub więcéj, ale zajęta pisaniem nie usłyszałam ich wejścia. Domyślam się z łatwością, że był to Rudolf i Władysław. Rozmawiali z sobą pół głosem. Nie myślałam wcale słuchać ich rozmowy, niemniéj jednak gdy się zbliżali do drzwi w pobliżu których siedziałam, słuch mój mimo mojéj woli pochwytywał pewne wyrazy.

— I nie wiesz pan gdzie jest teraz ta kobieta? wymówił Władysław.

— Nie wiem, była przytłumiona odpowiedź jego towarzysza.

Po kilkunastu sekundach kroki ich znowu zbliżyły się do drzwi.

— Przy dzisiejszych środkach szybkiego przejazdu i czujnych policji, nie ma na świecie osoby któréjby odszukać nie można, mówił znowu prawnik i wydało mi się, że tym słowom odpowiedziało tylko ciężkie westchnienie Rudolfa. Nagle słuch mój uderzyły zupełnie głośno wymówione przez Rudolfa słowa.

— Powiadasz że znasz ludzi, ale czy możesz przewidzieć jaki wpływ wywrze widok téj kobiety na człowieka, mego wieku i moich usposobień?

Stanęli.

—Więc pan się lękasz—zobaczyć ją? zapytał pan Władysław.

Była chwila milczenia.

— Panie! wymówił w końcu p. Rudolf, gdybyś ją znał? krótkie te słowa wypowiedziane były takim tonem, że aż zadrżałam.

— A jednak trzeba będzie ją wynaleść, wyrzekł znowu po chwili Władysław.

— Tak, ciszéj jak wprzódy odpowiedział Rudolf, uczynię to. Niech choć raz i choćby kosztem życia dopełnię obowiązku, dodał złamanym głosem.

Po ledwie dosłyszanym szeleście poznałam, że podawali sobie ręce. I znowu zaczęli chodzić a ja znowu pisałam. Skończyłam wreszcie i właśnie kładłam adres na kopercie listu, który nazajutrz znowu miał być odesłanym, gdy tuż przy drzwiach Władysław znowu rzekł:

— Rozumiem pana, tem lepiéj że sam zostaję teraz pod wpływem szczególnych uczuć. Nie wiem doprawdy co pocznę, ale wiem że nie zostanę obojętnym widzem nieszczęścia téj kobiety...

— Trudne położenie, wyrzekł Rudolf.

— Nie jestem człowiekiem któryby mógł cofnąć się przed jakiemikolwiek trudnościami, szybko i z wielką stanowczością odpowiedział jego towarzysz.

Ponieważ nic więcéj nie miałam tam do czynienia wzięłam w rękę świecę i odeszłam do mego pokoju.

Emilkę znalazłam już uśpioną. Przez chwilę patrzyłam na nią i więcéj niż kiedy spostrzegłam, że twarz jéj wśród snu nawet nosiła na sobie piętno niewymownego znużenia i smutku. Cera jéj zmięta była i powleczona bladawą żółtością, powieki od częstego znać płaczu nabrały różowych brzeżków, usta straciły swój dawny pąsowy kolor. Zupełnie prawie była brzydką, a jednak było coś bardzo pociągającego w niezmiernéj słodyczy i łagodności okrążającéj blade jéj usta i leżącéj na czole, z rozpuszczonemi włosami, z rękami splecionemi i przyciśnionemi do piersi.Sierotą była w całem znaczeniu tego wyrazu. Wszyscy bliscy jéj albo ją odumarli, albo nie byli godni jéj przywiązania. Nikt ją nie kochał i ona nie miała kogo ukochać.

A jednak miękkie, łagodne, rzewne to serce zda się stworzone było do kochania. Oprócz tego jeszcze odarta przez brata widziała się zagrożoną ubóstwem. Spojrzałam na jéj złożone ręce: białe były, drobne i delikatne. Wychowała się w bogactwie, nie wiedziała co to praca.

Pochyliłam się i ustami przylgnęłam do jéj czoła. Serce moje rozszerzyło się i uderzało mocniéj. Pomyślałam, że przybyła nam jedna jeszcze istota, którą kochać i o któréj myśleć będę. Patrzyłam na Emilkę i zdawało mi się, że jest rodzoną moją siostrą.

XIV.

Nazajutrz wstałam bardzo rano i po odbyciu zwyczajnéj krzątaniny po domu, otworzyłam cichutko drzwi sypialni mojéj matki. Niespała już, a nawet była zupełnie ubraną. Siedziała na sofce ze złożonemi rękami i książką do nabożeństwa na kolanach. Skinęła ku mnie głową i kończyła modlitwę... Uważałam jednak że modliła się z roztargnieniem, więcéj machinalnie jak szczerze, i że to ją wcale nie uspokajało. Gdy zamknęła książkę, zwróciła się do mnie i rzekła:

— Mówiono mi Wacławo, że panna Emilja S. przybyła tu wczoraj z tobą.

Usiadłam przy niéj i opowiedziałam, że biednéj Emilce bardzo źle w domu brata, że siostra jéj dalеko, bratowa rozstaje się z mężem. że zatem widząc ją płaczącą nad swem smutnem położeniem, prosiłam ją aby zamieszkała z nami przynajmniéj do powrotu Zeni.

— Bardzo to nieuważnie zrobiłaś, przerwała moja matka; zapomniałaś o tem, że same nie będziemy wkrótce miały żyć z czego, że zatem panna S. nie znajdzie u ubogich jak my kobiet wygód i zbytków do jakich przywykła...

— Ona sama jest ubogą, odpowiedziałam i potrafi pogodzić się ze wszystkiem, byleby się czuła kochaną. Zresztą wielkim ciężarem dla nas nie będzie, bo corocznie pobiera od brata procent od niewielkiéj sumki jaką on jéj wyznaczył.

— Otóż to! zawołała moja matka, ludzie gotowi jeszcze nas posądzić, że zapraszając ją do siebie spekulowałyśmy na te jéj pieniądze.

Całą rozmowę tę moja matka prowadziła z niecierpliwionym nieledwie rozgniewanym tonem, ja jednak co umiałam czytać w jéj myślach, po rozmarszczonem jéj czole i miękkim wyrazie oczu poznawałam, że serce jéj wcale co innego mówiło jak usta. Dla tego ani na moment nie zwątpiłam, że uczyniłam dobrze podając rękę Emilce.

W téj chwili zapukano do drzwi i łagodny głosik zapytał:

— Czy można wejść?

— Proszę! zawołała z pośpiechem moja matka. Emilka weszła do pokoju w naprędce narzuconym negliżu, z nieuczesanemi jeszcze włosami, które okręciła sobie wkoło głowy, ale które bujne i nieposłuszne w nieładzie opadały jéj na szyję i czoło. Szybko podbiegła do mojéj matki i składając przed nią ręcę mówiła nieśmiało:

— Przepraszam panią, że nachodzę ją w jéj pokoju tak rano... ale doprawdy obudziwszy się dziś pomyślałam sobie, że źle uczyniłam przyjeżdżając tutaj bez jéj zezwolenia... Jestem sama na świecie, kocham Wacławę jak siostrę i byłabym bardzo, bardzo szczęśliwą, gdybyście pozwoliły mi zamieszkać z wami. Jednakże gdybyś pani osądziła, że będę wam zbytnim ciężarem, że stanę się wam natrętną i niemiłą... odjechałabym napowrót do brata... albo nie, poszłabym raczéj dokąd na służbę...

Mówiąc te słowa Emilka była prawdziwie rozrzewniającą z wyrazem łagodnego a przejmującego smutku jaki rozlewał się na jéj bladéj twarzy. W błękitnych, rozszerzonych nieco od wychudnięcia jéj oczach kręciły się łzy.

Matka moja patrzyła na nią przez chwilę z rodzajem wahania się i niespokojności, ale potem wzięła obie jéj ręce w swoje dłonie, przyciągnęła ją do siebie i przycisnęła do swéj piersi:

— Pozostań z nami, kochane dziecię, rzekła, ty także jesteś jednym z rozbitków naszego świata. Pozostań z nami, chętnie podzielimy się z tobą ubóstwem i sercem naszem: bądź siostrą Wacławie i pomagaj jéj, bo trudne ma ona do spełnienia zadanie...

Kiedy Emilka niezdolna słowa przemówić całowała z wdzięcznością jéj ręce, matka moja głaskała jéj włosy i parę razy pocałowała ją w czoło z prawdziwie macierzyńską czułością.

Potem powstała żywo i wesoło rzekła do mnię, iż goście nasi oczekują już zapewne na herbatę i że pora już, abyśmy poszły do sali jadalnéj, gdzie ich pewnie zastaniemy.

— A ty kochane dziecko, zwróciła się do Emilki, idź, ubierz się i przychodź także do nas a wesoło i z dobrą myślą, bo nie jesteś już sama na świecie!

Byłam tak uszczęśliwioną, że zamiast iść pobiegłam do sali jadalnéj i zdaje mi się, że biegnąc nuciłam i podskoczyłam parę razy. Wesołość moja miała słuszne powody: nietylko bowiem zostałam uspokojoną co do możebności pobytu Emilki u nas, ale jeszcze w sercu mojéj matki, odkryłam prawdziwie dobroczynne źródło, z jakiego już tylko najobficiéj czerpać mi wypadało, aby ją z czasem zupełnie pogodzić z jéj losem. W istocie, po ożywionym kroku mojéj matki jakim weszła za mną do sali, po miękkim wyrazie który wrócił do jéj spojrzenia, po łagodnym dźwięku głosu jakim przemówiła do obecnych poznałam, że dobry postępek jakiego dokonała względem Emilki, orzeźwił znacznie jéj uczucia, pogodził ją z samą sobą i choć na chwilę uspokoił jéj wzburzony umysł. Pomyślałam sobie, że jeśliby moja matka miała często sposobność czynić dobrze, bardzo prędko wyleczyłaby się ze swego żalu po minionych świetnościach, i uwagę tę głęboko zanotowałam sobie w pamięci.

Przy herbacie matka moja bardzo troskliwie zajmowała się Emilką, wypytywała ją czy nie jest słabą że wygląda tak blado, poprawiała jéj suknię, włosy, słowem nie spuszczała jéj prawie z oka, widocznie całem sercem współczuciem darzyła biedną dziewczynę,zmuszoną szukać przytułku u osób, które same wkrótce pozbawione go być miały. Może też duma jéj upokorzona tylu przeciwnościami znajdowała pociechę w tem, że była jeszcze na świecie istota,która wzywała jéj pomocy i z ufnością garnęła się pod jéj opiekę.

O ile matka moja okazywała się spokojniejszą i ożywioną więcéj jak od dni wielu, o tyle Rudolf był posępniejszy i bardziéj zamyślony niż kiedy. Oprócz kilku słów powitania, przez godzinę nie odezwał się ani razu.Potem zaprowadził Władysława we framugę okna i kilka minut cicho z nim porozmawiawszy pożegnał nas i odjechał.Władysław oddalił się także do swego pokoju dla wysłania w różne strony korespondencji, mających na celu wynalezienie uczciwego i zamożnego nabywcy na dobra mojéj matki.

Siedziałyśmy więc same w jadalnéj sali około stołu z którego zdjęto przyrządy herbatnie, a rozmowa nasza stawała się coraz poufalszą i przyjemniejszą, gdy posłyszałyśmy turkot powozu podjeżdżającego pod ganek. Zaledwie powstałam aby zbliżyć się do okna, zatrzymałam się nagle bo drzwi otworzyły się i weszła przez nie Zofja.

Była całkiem czarno ubrana i miała na głowie podróżny kapturek z gęstą koronkową zasłoną. Odrzuciła ją z twarzy, zatrzymała się na progu i z rodzajem zmięszania patrzyła przez parę sekund na moją matkę i Emilkę, które powstały aby ją powitać. Spostrzegłam odrazu, że miała przy pasku podróżną skórzaną torebkę, i że całe jéj ubranie oznaczało, iż puszczała się w niedogodną o téj porze roku dość daleką podróż.

Zmięszanie jednak Zofji prędko minęło, postąpiła szybko i serdecznym ruchem wzięła obie ręce mojéj matki.

— Przebacz pani, wymówiła pewnym głosem, że tak często ją najeżdżam. Ale oddalam się z tych stron na zawsze, postanowiłam sobie raz jeszcze widzieć się z panią i jéj córką...

Po tych słowach podała rękę mnie i Emilce, a gdy usiadła matka moja rzekła, iż w istocie słyszała coś ode mnie o postanowieniu opuszczenia domu pana S.

— Chociaż w istocie byłabym obłudną gdybym wyrażała dla pana S. sympatję i szacunek, mówiła daléj, chociaż z wielu względów nie mam prawa naganiać ci twego postępku, to jednak powodowana dla ciebie życzliwością zwracam uwagę twą na niebezpieczeństwo i burzliwość téj drogi, na jaką się puszczasz...

Twarz Zofji nie poruszoną była jak marmur, oczy jéj tylko zaiskrzyły się silniéj przy słowach mojéj matki:

— Niebezpieczeństwo! burze! wymówiła Zofja wzruszając ramionami, i cóż one znaczą w porównaniu z nikczemnością, jakiéj bym się dopuściła,zgadzając się na dłuższe pozostawanie pod jednym dachem z tym człowiekiem i noszenie nazwiska jego żony? Matka moja ze współczuciem patrzyła na nią, a po chwili wahania się wymówiła:

— Wybacz kochana Zosiu, ale opierając się na tem że cię znam od dzieciństwa, pozwolę sobie powiedzieć ci, że twoje wyjście za mąż przedstawiało dla mnie zawsze zagadkę, któréj rozwiązać nie mogłam... Chociaż pan S. pod względem urodzenia i majątku stanowił zapewne dobrą partję, to jednak wiem że nie miałaś do niego żadnego przywiązania...

— I do nikogo mieć go nie mogłam, wymówiła Zofja cichszym trochę jak wprzódy głosem, a oczy jéj szklano patrzyły w przestrzeń, jakby gdzieś daleko widziały to o czem mówić miała; uderzono mię w samo serce, mówiła daléj, a cios wymierzono tak dobrze, że na długo stało się ono bezwładne. Bezwładną stała się i myśl moja. O! pani nie wiesz jak łatwo w siedmnastoletniéj dziewczynie złamać energję i zabić poczucie saméj siebie. Zabroniono mi kochać, odebrano mi nawet szacunek dla tego kogo kochałam, ubrano go przede mną w brzydkie barwy. Zabito moją wiarę dziewiczą, przedstawiono mi świat jako wielką pustynię, na któréj nie ma szczęścia i cnoty, a jest tylko jedno miejsce spoczynku na łonie bogactwa. Powtarzano mi wciąż: wszystko fałsz i bańki mydlane — prawda i słońce — to świetna w świecie pozycja. Nie uwierzyłam w to, ale straciłam wiarę i w to w com przódy wierzyła. Ogarnął mię sen moralny, nie czułam że żyję, nieraz kładłam rękę na sercu chcąc dowiedzieć się czy uderza jeszcze. I po chwili odejmowałam ją mówiąc do siebie: nie, już bić przestało, wkrótce umrę! Byłam tak bierna i tak upadła na siłach, że gdzie mi mówiono abym szła — szłam — jak mi powiadano abym mówiła — mówiłam: kiedy mię ubrano byłam ubrana, kiedy nie kazano mi włożyć sukni nie kładłam jéj i po całych godzinach leżałam na sofie mego pokoju, śpiąc z otwartemi oczami i ciągle, bezprzestannie myśląc: jeśli jego kochać mi nie wolno, to już i nikogo kochać nie będę: jeśli jego kochać nie warto, to już i nikogo nie warto: jeśli on jest nieszlachetny i zły, to już ani jednego człowieka nie ma na świecie dobrego i szlachetnego. Mniejsza o to! dodawałam sobie zawsze, prędko umrę! I zamykałam oczy i śniłam na jawie, że mię anioł w objęciu skrzydeł białych niesie na lepszy świat jakiś, patrzyłam na twarz anioła i poznawałam twarz jego... Doznawałam takiego ściśnienia serca, że mdlałam ale nie płakałam ani razu, a nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego że cierpię... Wtedy przyprowadzono przede mnie tego człowieka i zapytano: czy zostaniesz jego żoną? Przypominam sobie jak przez sen, że dreszcz mię przebiegł od stóp do głowy, ale odpowiedziałam „zostanę" a pomyślałam: „mniejsza oto! wkrótce umrę!" Wuj uradowany powtarzał ciągle: „będziesz miljonową panią bo ten człowiek jest na drodze do zrobienia ogromnéj fortuny" Wujenka powiadała: „Ślubne podarunki otrzymasz pewnie prześliczne, a mieszkać będziesz w najpiękniejszym w całéj okolicy pałacu. Brat mi mówił do ucha: Będziesz szczęśliwą! on szalenie rozkochany w tobie. Uśmiechałam się do nich wszystkich machinalnie a w duchu myślałam. Wszystko mi jedno, wkrótce umrę! Potem zdaje mi się, że przez sen widziałam oświetlony rzęsiście kościół do którego mię wprowadzono, księdza przed ołtarzem, który mi zadawał różne pytania, liczne towarzystwo, tańce, powinszowania, toasty.... Wszystko to widziałam i słyszałam przez sen poruszając się jak lunatyczka, nie czując,nie myśląc a tylko powtarzając sobie: wszystko mi jedno! wkrótce umrę! I po raz pierwszy ocknęłam się wtedy gdy poczułam na moich ustach zimny, wstrętny pocałunek... Ocknęłam się i pojęłam wszystko, i pojęłam żem nie umarła... Było to w mieście; zawołałam na służbę, aby coprędzéj przyzwano lekarza, a gdy przyszedł zapytałam go: czy prędko umrę? Był bardzo zdziwiony, ale obyczajem doktorskim badał mój puls i przykładał różne przyrządy do moich piersi, potem powiedział, że jestem zupełnie zdrową i mam organizm zbudowany z rzadką doskonałością. Jakby na przekór jego zdania ciężko zachorowałam nazajutrz... ale nie umarłam tylko powstałam z choroby całkiem już obudzona z okropnem poczuciem rzeczywistości.. Niemniéj jednak długo jeszcze marzyłam o śmierci... aż przyszedł czas gdy przekonałam się, że nie przychodzi ona na zawołanie, a nawet pragnąć jéj przestałam, bo wraz z rozbudzoną energją wstąpiło we mnie poczucie i pojęcie życia, a im uśpienie moich sił żywotnych było głębsze,tem silniejsza nastąpiła reakcja...

Tu zatrzymała się, stanęła wyprostowana i z podniesioną głową i z uśmiechem w którym przebijała się duma, ironja i boleść zarazem dodała:

— I oto mię widzicie panie pod wpływem téj reakcji i zbuntowaną ale stanowczą. Niebezpieczeństwa i burze jakie mię czekają na téj drodze na jaką się puszczam, przyjmuję. Nie chcę dłużéj nosić więzów, na które wzdryga się moje serce, zrywam je i stawiam światu czoło. Niech mię spotwarza, niech mię kamienuje, nie obchodzi to mię, bo czuję się niewinną. Człowiek musi iść za przeznaczeniem swojem. Mnie stworzono nie sztucznem, odtworzę je sobie takiem jakiem sama zechcę aby było. Nie mam już lat siedemnastu i nie jestem dzieckiem, jestem kobietą i uczynię co zechcę a jeśli cokolwiek złego uczynię, niech mi Bóg przebaczy i niech odpowiedzialność za moje życie spadnie na tych, którzy mu taki nadali kierunek..

Umilkła i przez parę sekund stała jak posąg nieruchoma z ręką wyciągniętą energicznym gestem. Twarz jéj była nieporuszona i najlżejszy na nią nie wystąpił rumieniec, tylko śliczne usta drżały i po białych policzkach zwolna ściekały dwie łzy.

Moja matka z wielkiem współczuciem zbliżyła się do niéj i przemówiła kilka słów serdecznych. Wspomniała także i o familji Zofji, którą pewnie zmartwi jéj postępek i która niezawodnie dołoży wszelkich starań, aby położenie jéj w danych okolicznościach w jak najlepszy urządzić sposób.

— Familja moja! zawołała Zofja i gdzież jest ona? Co to się nazywa familją? Czy składać ją mają osoby krwią ze mną zjednoczone, a obce mi zupełnie pojęciami i uczuciem?

Jeśli to tylko nazywa się familją, nie chcę jéj mieć, a innéj takiéj do któréj mogłabym przybiedz z miłością i zaufaniem nie nam. Familja to wywarła na mnie ten przymus moralny, o którym mówiłam, sto razy gorszy od fizycznego przymusu. Gdyby bowiem mnie bito i łajano, oparłabym się fizycznéj przemocy przez dumę i urazę, ale prośbom, pieszczotom, namowom i intrygom, niezdolne jest oprzeć się siedemnastoletnie dziecko. O! wierz mi pani, średniowieczny przymus wywierany na młode istoty przez ich familje nie ustał wcale, z postępem czasu zmienił tylko narzędzie i zamiast rózgi posługuje się obłudą, miłością, niewolniczem krępowaniem woli i intrygą. Tych to narzędzi użyła familja moja, aby mię doprowadzić do tego co szczerze lub nieszczerze mieniła być szczęściem mojem, a najpewniéj aby się pozbyć kłopotliwéj nad sierotą opieki i w oczach świata pokazać się wspaniałomyślną i wielce dbałą o nią, bo wyszukującą dla niéj jak najlepszéj partji. Familja moja! niechcę ani jéj miłości ani jéj protekcji! Jeżeli dowiem się że familja moja czuje się przeze mnie zmartwioną i zawstydzoną, doświadczę prawdziwéj, ulgi. Gdy to mówiła łzy oschły na jéj policzkach, a na ich miejsce wystąpił szkarłatny rumieniec gniewu i brwi ściągnęły się z wyrazem nieprzełamanéj zawziętości.

Matka moja była bardzo wzruszona, z czułością wzięła obie ręce Zofji i zapytała ją łagodnym głosem, czy i do brata swego podobnie jak do całéj swéj familji zrażoną się czuje? Wyraz wielkiego żalu wytrysnął na twarz Zofji i spędził z niéj uprzednie rozgniewanie.

— Brat mój! wymówiła czułym wezbranym łzami głosem, brat mój! powtórzyła dłonią zakrywając oczy; jedno tylko jego imię z pomiędzy wszystkich, którzy mi byli blizcy zdoła mię jeszcze rozrzewnić Mój Boże! ja go tak kochałam! ja mu tak wierzyłam dla czegóż on niezrozumiał mię!

I z pomiędzy jéj palców zwolna wypłynęło kilka łez. Po chwili jednak odjęła rękę od oczu i twarz jéj pokazała się znowu biała i nieporuszona jak marmur, tylko oczy iskrzyły się i mgliły naprzemian.

— Dosyć już tych rozrzewnień i próżnych słów o przeszłości, wyrzekła z mocą, przyjechałam tu nie dla tego, aby przed wami skarżyć się i łzy wylewać, ale aby się z wami pożegnać i prosić was o dobre dla mnie wspomnienie. Nie dbam o świat, ale dbam o tych których kocham. Prawdopodobnie przestaniemy się widywać... Nie wiem jeszcze co z sobą zrobię. Być może iż będę pozbawioną wszelkiego majątku,jeżeli mój brat oddając posag mój temu człowiekowi, nie dopełnił stosownych środków ostrożności. Jest on teraz zagranicą napiszę do niego z zapytaniem. Tymczasem posiadam kilka cennych klejnotów, spienięże je i w W. zamieszkam, a może z czasem obmyślę cokolwiek o sposobie ułożenia mojéj przyszłości. Tu zwróciła się do mojéj matki:

— Żegnam cię pani, wyrzekła tak czułym głosem że trudnoby w nim poznać ten sam jakim mówiła o swéj familji, pamiętam: że od dzieciństwa mego czułam dla ciebie pani pociąg i życzliwość i zdawało mi się zawsze, że musisz być bardzo dobrą... I ty Wacławo, dodała zwracając się do mnie, bądź zdrowa, byłaś kiedyś najlepszą powiernicą i przyjaciółką moją, kiedy w przyszłości posłyszysz może jak mię ludzie potępiać będą, przypomnij sobie jaką byłaś dusza moja wtedy, gdy widziałaś ją niewinną jeszcze życiem, w całéj jéj czystości i niewinności. Kochana, dobra Emilko i ciebie żegnam, przebacz jeśli nie zawsze byłam dla ciebie taką jaką być byłam powinna, ale widzisz u kogo w sercu nazbiera się wiele goryczy, ten nie może mieć na ustach słodkich słów i uśmiechów...

Tu złożyła ręce i ze łzami w oczach, z wyrazem dziecięcéj niemal prośby, a głębokiego żalu na twarzy, mówiła zwracając się do nas wszystkich:

— Przewiduję, że wielka pustynia rozłoży się wkrótce w koło mnie, że wkrótce imię moje należeć będzie do imion tych, które się wymawiają pocichu z uśmiechem ironji albo głośno z okrzykiem potępienia... Proszę was, wy których kocham nie mówcie o mnie nigdy w ten sposób, bo w oddaleniu nawet odczułabym,gdybyście źle o mnie wspomniały. Niech życzliwa myśl wasza towarzyszy mi wtedy, gdy nikt o mnie życzliwie myśleć nie będzie.... kiedy przez wszystko i wszystkich na świecie opuszczoną zostanę...

—Przez wszystkich nigdy pani opuszczona nie zostaniesz! wymówił za nami tuż obok Zosi głos męzki i stanowczy, mimo drżenia, które nim wstrząsało. Przez łzy wzruszenia, które mi nabiegły do oczów, zobaczyłam jak Zofja i Władysław podawali sobie ręce i patrzyli na siebie tak, jak ludzie długo rozłączeni i tęskniący za sobą, a spotykający się nagle na jednéj łodzi unoszonéj falami wzburzonego morza. Okropne światło przemknęło mi wtedy przed oczami, a oblana niem w smutnem widzeniu ukazała mi się przyszłość Zofji...

Jakby cucąc się z zachwytu w jaki pogrążyły ją słowa i niespodziany widok Władysława, Zofja zwróciła się do nas i żegnała nas wszystkie trzy milczącym uściskiem. Matka moja uderzona może tem samem światłem jakie przed chwilą i ja ujrzałam, nieszczęśliwą kobietę nie prosiła już o dłuższy u nas pobyt. Wszystkie trzy zapłakałyśmy tylko szczerze przeprowadzając ją aż na ganek, a gdy w bramie już wychyliła się raz jeszcze z powozu i pokazała nam swą piękną, białą twarz na któréj tak dziwnie mięszały się żal niezmierny i niezłomna energja, pomyślałam z westchnieniem,że i ona także jest jednym z rozbitków tego świata, który był światem mojéj matki.

Władysław wprzódy od nas cofnął się w głąb domu i przez cały dzień nie zobaczyłyśmy go już więcéj.

XV.

Mijały dnie za dniami a żadna zmiana nie zachodziła w naszem położeniu. Władysław rozsyłał liczne korespondencje, odbywał częste wycieczki w dosyć odległe nawet strony, a pożądany nabywca nie znalazł się. I nic w tem nie było dziwnego. Dobra mojéj matki były obszerne a kapitalistów na znacznéj przestrzeni prowincji znajdywało się bardzo niewielu. Z tych zaś jeszcze jedni pragnęli nabyć je również za bezcen jak i Henryk, drudzy nie życzyli sobie nic do czynienia z tym ostatnim albo powiązani z nim stosunkami interesowemi, obawiali się występować z nim do walki. Wszystkie więc usiłowania Władysława okazywały się daremnemi, a lubo w rzadkich chwilach przestawania z nami zachowywał zawsze uprzejme obejście się i spokojną powierzchowność, domyślałam się jednak, że dręczył się przedłużonym swym w naszéj okolicy pobytem. Raz gdy znalazłam się z nim sam na sam, wyraziłam mu w imieniu matki mojéj i swojem wdzięczność, za trudy jakie dla sprawy naszéj poniósł i prosiłam, aby dłużéj nie zadawał sobie przymusu i wrócił tam, gdzie wzywają go obowiązki jego zawodu tembardziéj, że prawdopodobnie nic tu już więcéj do uczynienia nie zostawało.

— I owszem pani i owszem, odpowiedział z kilku miejsc do których wysłałem korespondencje, oczekuję jeszcze odpowiedzi, a do kilku innych osobiście postanowiłem się udać. Nie odjadę ztąd aż do dna wyczerpię wszystkie środki ratunku. Jest to moją powinnością jako prawnika, a znowu jako człowiek nie lubię zatrzymywać się wpół drogi, ani porzucać rozpoczętego dzieła w połowie roboty.

Był to prawdziwy mężczyzna. Przenikając tajemne myśli jego i uczucia, podziwiałam nieraz jak umiał panować nad sobą. Nigdy najmniejszą zewnętrzną oznaką nie dał nam poznać, iż cięży mu przedłużona jego w W. nieobecność a całą zmianą jaką w nim spostrzedz mogłam od ostatniéj u nas bytności Zofji, było częstsze zamyślanie się w jakie wpadał i śród jakiego nagle bladł niekiedy albo brwi zsuwał z wyrazem głębokiego namysłu. Mniéj też wyrzucał z siebie sarkazmów i ostrych dowcipów może dla tego, że rzadziéj się wdawał w długie z nami rozmowy, a jak domyślałam się i dla tego jeszcze pewnie, że obawiał się aby jakiem słowem nie zaczepić o przedmiot, który zapanował nad jego myślą i najtajniejszemi uczuciami. Raz tylko budząc się z jednéj z długich zadum, jakie teraz napadały go często, rzekł do mnie:

— Któregoś dnia powiedziałaś mi pani, że posiadam mocno osadzoną na karku głowę, któréj nic zgiąć nie potrafi i wolę umiejącą zapanować nietylko nad zewnętrznemi okolicznościami, ale i nad samym sobą. Może że pani powiedzieć mi równie, czy mam ręce zdolne do odważnego trzebienia chwastów i pasożytów oplątujących stopy ludzi, a posługujących tylko ku pociesze osłom?

Wniknęłam w jego myśl i odpowiedziałam:

— Nie wątpię że posiadasz pan moc o któréj mówisz, bylebyś tylko posiadał także i rozwagę pomagającą do rozróżniania chwastów i pasożytów z życiodawczemi roślinami.

Władysław uśmiechnął się po swojemu z rozmysłem, dowcipem i ironją:

— Powiedz mi pani, rzekł, gdzie jest granica która stanowczo rozdzielała chwasty i życiodawcze rośliny? W botanice znajduje się ona zapewne, ale jeśli pod przenośnią tą zrozumiemy społeczne sprawy i ustanowienia, z trudnością przyjdzie nam ją odszukać i dokładnie określić. Gdzie kończy się cnota a zaczyna występek? Kędy leży granica obowiązku, a rozpoczyna wolna wola człowieka? Jaka jest idea tak wielka i święta, którejby ludzie w zastosowaniu do jednostek nie zbrudzili i nie przekręcili? W jakiéj z ksiąg pisanych ręką człowieczą, znaleść możemy rozkazania, których byśmy słuchać mogli we wszystkich czasach i miejscach, śród wszystkich losów i uczuć, które nami władają? Mnie się zdaje, że taką księgę w nas samych tylko znaleść możemy jeśli sumienie nasze obudzone, rozum czujny a serce niezepsute. Co do mnie zdaje mi się, iż nie zdolny jestem słuchać żadnych praw innych jak tych które przemawiają do mnie z téj księgi we własnem mojem wnętrzu wyrytéj.I kładąc rękę na piersi, słuchając głosów które w niéj dźwięczą, jestem pewny, że z całéj duszy pragnę być zawsze w zgodzie z dobrem i prawdą i że jeśli kiedykolwiek rozminę się z tą elementarną, katechizmową moralnością na któréj ludzie jak dzieciaki w szkole sylabizują cnotę na pamięć, uczą się jéj powierzchownych znaków, to z tą wielką, prawdziwą, świętą moralnością przez którą człowiek uwielbia piękno, szanuje nieszczęście, przebacza winę i mężnie wyznaje prawdę swego serca, nie rozminę się nigdy.

O ile temi słowami wyrażone zasady Władysława źle zrozumiane niebezpiecznemi i szkodliwemi by być mogły, o tyle czuć w nich było szczerość niemal naiwną, niepospolitą niepodległość umysłu, i wzgardę dla wielu rzeczy przez ten świat przyjętych i uświęconych, ale bez najmniejszéj domieszki cynizmu a przeciwnie z wielkiem wymówione czuciem przyrodzonéj szlachetności, i lekką tylko zaprawą goryczy. Niepodobna było wątpić o szerokości tego człowieka gdy mówił, że pragnie na zawsze pozostać w zgodzie z dobrem i prawdą, i że nigdy nie rozminie się z tą wielką, świętą moralnością, która uczy uwielbiać, przebaczać, kochać a za przekonanie swe mężnie nadstawiać czoło.

Ale tę prawdę, to dobro i tę moralność postanowił on czerpać tylko z siebie samego, bacząc jedynie na to, aby sumienie jego było obudzone, rozum czujny a serce uchronione od wszystkiego coby je zepsuć mogło. Téj tylko swojéj księgi wewnętrznéj miał on radzić się we wszystkich wątpliwościach i niepokojach, a wzgardliwie odrzucał inne co przynosiły mu wypisane i wydrukowane prawa dobra, prawdy i moralności.

Odrzucał więc doświadczenie nagromadzone przez ludzi wszystkich wieków i sam sobie chciał zostać prawodawcą i pradziadem. Nie omyliż go to harde zaufanie w samego siebie i ten drogoskaz z własnych tylko jego uczuć i pojęć wystawiony?Nie wskażeż mu ścieżki prowadzącéj na manowce zamiast téj, która wiedzie na szeroką równinę téj prawdy i tego dobra, których szczerze pragnęła szlachetna jego natura?

Trzebiąc wkoło siebie chwasty i pasożyty, czy pod dumną i niepodległą swą stopą, nie złamie i nie zgniecie rośliny, dającéj życie jednostkom i społeczeństwom, i czy te chwasty i pasożyty nie splączą go tak, że poczuje się przeciwko nim bezsilnym i zamiast obalić je przed sobą, zostanie przez nie obalony? A wtedy jakież głębokie upokorzenie dla téj szlachetnéj natury, jeśli spostrzeże że za wiele zaufała sobie i pobłądziła?

(d. c. n.)

MĄŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁOMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dokończenie.)

LIX.

W LAT SZEŚĆ — NIESPODZIANKI.

Sześć lat to czas niemały. Nie jednéj zmarszcze daje życie i nie jedno serce wyciśnie jak cytrynę. Sześć lat w szczęściu, to minutka mijająca szybko jak mgnienie błyskawicy: w niedoli to wiek cały wlokący się bez końca. Jakie zmiany te sześć lat przyniosły osobom, wchodzącym do naszego opowiadania dowiemy się wkrótce, jeżeli cierpliwi czytelnicy zechcą zajrzeć do niewielkiéj wioski tuż nad granicą Szkocji położonéj. Składa się ona z folwarku kilkunasto włókowego i kilkudziesięciu osad mniejszych posiadaczy, otaczających zamożniejszego swego towarzysza wieńcem domków, jak kokosz kurczętami gdy pokwokując z dumą przewodzi swemu drobiazgowi. Wioska cała schludna, otoczona widocznie pieczą czujnego oka, co znać na połatanych świeżo

dachach, na poprawianych płotach, drogach, mostkach i podpórkach przy ścianach przedtem nachylonych, a teraz na nowo wyprostowanych. Przez środek osady przechodzą dwie szerokie drogi przecinając się z sobą, z obu stron obsadzone morwami, a przy każdym domku znajduje się mały ogródek ogrodzony żerdziami i uśmiechający się gęstym owocem grusz, jabłoni, malin i t. p. W samem niemal przecięciu dróg krzyżujących się z sobą, mieszczą się zabudowania folwarku, nie wspaniałe ani okaźne ale dostatnie, wygodne i tą samą otoczone pieczą co i mniejszych osadników. W ogrodzie okalającym dom mieszkalny samego dzierżawcy, uwija się kilkunastu młodych chłopców i dziewcząt, córek i synów miejscowych gospodarzy, którzy szepcząc między sobą tajemniczo wybierają kwiaty świeżo rozkwitłe perlące się poranną rosą, której promienie słońca niedawno zeszłego nie miały jeszcze czasu osuszyć. Wpośród téj gromadki wiejskich rabusi stoi mężczyzna w bluzie i szerokim słomianym kapeluszu, młody zaledwie trzydzieści parę lat mający, ale ogorzały jak cygan, a z rękami spracowanemi jak zwyczajny robotnik. Jest to znany nam dobrze Arnold, sześć lat czasu nadały twarzy jego powagę, a praca rozwinęła a raczéj uwydatniła jego zgrabną budowę fizyczną, przemieniając go w dorodnego mężczyznę. Jakim sposobem pan obszernych włości, osiadł w małéj posiadłości aby z niéj wydobyć utrzymanie dla swojéj rodziny, nie będziemy opowiadać. Giną fortuny jak ludzie, giną rodziny jak narody, zginął więc i majątek Arnolda w malutkiéj zaledwie ocalony cząstce. Nie zawsze jednak utrata mienia stratę szczęścia sprowadza, czy to samo się z Arnoldem stało zaraz zobaczymy.

Był to dzień niedzielny, rocznica urodzin Bianki, zawsze z wielką uroczystością, z przepychem prawdziwie pańskim w Windygates niegdyś obchodzona. Arnold i na nowéj swéj siedzibie chciał dzień ten równą uczcić pamięcią, może z mniejszą wrzawą i świetnością, ale serdeczniéj, wymowniéj niż zbiegowisko licznych gości, więcéj zajętych przepychem wystawy przyjęcia, jak celem który ich we wspaniałe komnaty zgromadził. Tą razą gośćmi jego miała być młódź wiejska, któréj od chwili swego osiedlenia stał się nauczycielem, doradcą i przewodnikiem. Wiedząc o dniu tak pamiętnym swéj młodéj opiekunki, każde z młodego grona zebrało mały koszyczek owoców z własnych ogródków, które rozkwitły prawie cudownie pod wpływem rady nowych sąsiadów. Brakło im tylko tak pięknych kwiatów jakich pełno posiadał ogród folwarczny, przybyli więc raniutko i za pozwoleniem Arnolda zajęli się ułożeniem wspaniałego bukietu, w którym litera *B* miała zająć przeważne miejsce. Wreszcie robota była skończona. Najmłodsza z dzieweczek miejskich, a może i najładniejsza, trzymała go z dumą przy piersiach w szklannym małym wazoniku, napełnionym zwilgoconą ziemią: inne towarzyszki otaczały ją, za niemi stanęła młodzież, a gdy Arnold dał znak do pochodu wszystko ruszyło w ciszy trzymając koszyczki z owocem w ręku starannie winnemi liściami osłonięte. Kiedy gromadka doszła do dworku, zatrzymała się tuż pod oknami przysłoniętemi jeszcze, Arnold otworzył z nich jedno i wsuwając głowę w mieszkanie rzekł:

— Bianko! — zobacz jak śliczna na niebie pogoda. Dzień tak cudowny że prawie doprasza się abyś na niego spojrzała. Proszę cię wyjrzyj choć przez okno.

Bianka uśmiechnięta stanęła przy oknie trzymając na rękach trzechletniego chłopaczka, a gromadka młodzieży jak tylko ją ujrzała, dała znak i rozpoczęła śpiew choralny, pełen prostoty i rzewności w którym wdzięczność śpiewaków łączyła się razem z modlitwą pełną podniesienia ducha. Przez czas śpiewu, Bianka stała nieruchoma, rozrzewniona a gdy skończył się i gromadka podniosła okrzyki wiwatowe na cześć solenizantki, łzy zabłyszczały w jéj oczach i z uczuciem niewysłowionego przywiązania przycisnęła do ust rękę Arnolda.

— Ach! jaki ty dobry, jaki ukochany, szeptała łkając i przyciszając swoje rozrzewnienie, zwróciła się z podzięką do młodzieży zapraszając ją na wieczorną ucztę z obietnicą wesołych tanów. Młodzież złożyła przyniesione dary solenizantce, a pożegnawszy się i podziękowawszy za zaproszenie, pobiegła wesoło do domu, aby z ukochanemi w nich podzielić się tak miłą niespodzianką.

— Ich to pomysł moja droga, wszystko sami ułożyli, odezwał się Arnold patrząc na biegnącą w wesołych podskokach wieśniaczą gromadkę: śpiew tylko ja ułożyłem, bo mnie o to prosili usilnie. Raz tylko wspomniałem przy pracy ogrodowéj, o dniu twoich urodzin, kiedym polecał szczególnéj ich opiece krzak róży białéj, któréj kwiatem tak lubisz zdobić piękną swoją główkę. Wzmianka ta była dostateczną do zrobienia ci niespodzianki, jakżem szczęśliwy że ci to tyle przyniosło przyjemności.

— Powiedz szczęścia mój Arnoldzie, odezwała się Bianka, bo przyjaźń tego biedactwa, wdzięczność jego tak szczera, bez obłudy, bez interesu objawiona, czyż nie jest szczęściem prawdziwem?

— Dodaj do tego moja Bianko, że przechodzi nawet naszą zasługę. Bo i cóżeśmy im dali? Troszkę światła, troszkę wiedzy, odrobinę pojęć ludzkich i téj rozwagi, co na świat pozwala spojrzyć z poczuciem własnéj godności, i podnosi nas od ziemi przychylonych do niéj mozołem pracy i instynktu zwierzęcego.

— Ach! mój Arnoldzie jakże jestem szczęśliwa. Patrz, jak nasz mały Arnoldek uśmiecha się także ze szczęścia jakie nas ożywia. Nie będziesz synku nasz bogatym, ale będziesz jak ojciec twój uczciwym, pracowitym i rozumnym. To bogactwo przekażemy ci w dziedzictwie a gdy je ujmiesz swoją głową i sercem, zamkniemy oczy spokojni bez troski o twą przyszłość.

— Jaka szkoda, że lady Lundie nie może słyszyć słów twoich, odezwał się Arnold ale mu zaraz przerwała Bianka.

— Nie wspominaj mi jéj nazwiska, bo mi zaraz przychodzą do myśli wszystkie zgryzoty, które o mało nie pozbawiły nas szczęścia jakiego obecnie doświadczamy. Na ułagodzenie tego niemiłego wrażenia, za niespodziankę jaką mnie obdarzyłeś i ja ci równie miłą niespodziewaną udzielę wiadomość. Oto przed półgodziną odebrałam telegram od stryja Patrika i od Anny z powinszowaniem urodzin i z oświadczeniem, że południowym pociągiem przyjadą do nas, aby po latach tylu uroczysty ten dzień razem z nami przepędzić.

— Czy podobna?— zawołał Arnold z radością, sir Patrik chce nas nawiedzić? To rzeczywiście niespodzianka zupełnie nieprzewidziana.

— I Anna także, dołożyła Bianka, którą wiesz jak zawsze kocham...

— I ja chciałbym ją kochać moja Bianko, ale cóżem winien że nie mogę.

— Arnoldzie! czyż to sprawiedliwie.

— Szanuję ją za jéj moc duszy z jaką rzuciła się w paszczę lwa, aby nas wybawić z ogromnego kłopotu, ale dla czegóż sama do tego powód nastręczyła?

— O! mój Arnoldzie, jeszcze mnie dreszcze przejmują na samo przypomnienie sceny, w któréj domagała się praw do Godfryda jak żona, aby nas ocalić, a on do niéj jako mąż, aby się zemścić straszliwie. Wierzaj mi była to gra o życie lub śmierć, a jednak poczciwa Anna choć go nienawidziła, nie zawahała się nawet chwili i poszła śmiało przeczuwając następstwa, które się niemal że nie spełniły. Przyznaj że to wielka odwaga i poświęcenie.

— Nie! Bianko to był tylko prosty obowiązek, którego niewykonanie okryłoby ją hańbą i napełniło duszę wieczną zgryzotą sumienia. Zrobiła to bo musiała, bo nie mogła inaczéj postąpić.

— Ach! jak wy mężczyźni zawsze surowi i bezlitośni! zawołała Bianka! Czyż spełnienie każdego obowiązku jest tak łatwem, że przestaje być zasługą nawet wtenczas gdy mu towarzyszą tak straszne jak Annie okoliczności? Gdyby wszyscy spełniali tylko to co ich obowiązuje, świat byłby rajem, a że jest inaczéj widać że mało kto pamięta o tem.

— Prawda to wszystko moja Bianko, a jednak jednéj téj zgryzoty zapomnieć nie mogę i Annę rad bym nigdy nie widzieć.....

— Bo mnie nie kochasz, z zadąsaną minką przerwała Bianka. Gdybym posiadała całe twoje serce, kochałbyś to co ja kocham, a przebaczyłbyś tym, którym ja przebaczyłam.....

— Więc przebaczam a nawet...... kocham kiedy tego żądasz. Mąż i żona węzłem prawdziwéj miłości złączeni, to symbol świętości ziemskiéj. To niewzruszona żadną burzą podstawa rodziny, a przez nią i całéj ludzkości.

W południe obiad przysposobiony był na cztery osoby i sir Patrik wraz z Anną przyjechali jak to nadesłany telegram zapowiedział. Przywitanie było pełne niewymuszonéj radości. Bianka płakała, Anna także była rozrzewnioną ale ile możności uspakajała się pieszcząc małego Arnoldka, który nieśmiało spoglądał na nią.

— Przeczuwałem że tak będzie, odezwał się sir Patrik siedząc w wygodnym fotelu i postukując laską, bez posługi któréj już mi trudno było się obejść. Kobiety to na to są stworzone, mówił daléj z udanym gniewem, żeby wszystko psuły i niszczyły. Dziećmi niszczą lalki, późniéj stroje, a potem dla rozrywki niszczą spokój serca młodych wietrzników, i zabijając w nich trzpiotowatość zmuszają do powagi jakiéj przedtem nie znali. Nieznośne to stworzenia! Uśmiechem, minką, spojrzeniem, nawet dąsem udanym i chmurką na czoło włożoną, z rozumnych robią szaleńców, ze swobodnych uległych niewolników, a łzami radości i rozrzewnienia, starym artrytykom nie mogąc ich do stóp swych rzucić na kolana, psują apetyt tak dla nich upragniony. O! kobiety, kobiety i radością i płaczem zawsze broicie. Jesteście koroną naszego życia ale cierniową....

— Serdeczne dzięki! przerwała Bianka z ukłonem uniżonym, i to w imieniu wszystkich kobiet całego świata. Znając stryja sądziłam, że nas przyrównasz do cudownego kwiatu, jeszcze w raju ożywionego ludzkiem życiem, aby wam potomkom łakomego Adama, niósł radość i pociechę. Ale nazwać nas cierniową koroną.....

— Ach! Bianko muiéj bądź wymowną a więcéj posłuszną. W Windygates wodziłaś rej nad stryjem, jak zagrałaś tak skakał choć nie chciał, dziś widzę że rządzisz podobnie mężem, którego smutnem przeznaczeniem wieczna uległość kobietom. Gdyby nie ta słabość..... ale otóż i upragniony posiłek, mistress Delamayn racz zająć przy mnie miejsce, a ty Bianko po drugiéj siądź stronie. Chciałbym was zawsze mieć przy sobie, odmładzać się wdziękiem waszéj młodości i rozgrzewać, krzepnące serce widokiem waszego szczęścia. Arnoldek niech siądzie między rodzicami, gdybym nie był samotnikiem, lady Patrik pomieściłbym naprzeciw siebie, a wówczas miałbym was wszystkich których kocham i mógłbym zawołać z poetą—i gdzież mocarz ziemi coby mi dorównał! Lady Delamayn racz.....

Anna mimowoli poruszyła się niespokojnie, sir Patrik dostrzegł to, urwał też nagle i poprawiając się mówił daléj:

— Lady Anna wybaczy słabéj pamięci starego. W młodym wieku mogłem wyliczyć z pamięci po imieniu i nazwisku wszystkie najpiękniejsze kobiety całéj Anglji, dziś mam jedną przed sobą i czczę ją niemiłem jéj mianem.....

— A o mnie czy stryj zapomniał? przerwała Bianka.

— Nie moja droga, ależ twoim największym wdziękiem to ten malec jasnowłosy. Powabowi jego nic na świecie nie dorówna..... nie każdy i nie każda poszczycić się nim potrafi.

Obiad ożywiony wesołą pogadanką sir Patrika zeszedł prędko, a gdy później Bianka z Anną poszła do ogrodu, aby się pochwalić nim jako dziełem Arnolda, Stryj z gospodarzem wyruszył ku zabudowaniom gospodarskim, a później w pole dla przypatrzenia się wszystkim zaprowadzonym w niem ulepszeniom. Przechadzka ta była dosyć nużąca, to też sir Patrik często przystawał, przysiadał się na kamieniach przydrożnych, i chwaląc urządzenie podziwiał pracowitość Arnolda, który w kilku latach tyle zmian potrafił dokonać. Kiedy wreszcie w powrocie dochodzili do okolenia folwarcznego, sir Patrik po chwilowem milczeniu nagle porzucając agronomiczne uczone wywody, odezwał się do swego młodego towarzysza:

— Wiesz Arnoldzie, że z pustkowia tego stworzyłeś raj prawdziwy, który wkrótce zmieni się w bajeczną krainę płynącą mlekiem i miodem. Szkoda jednak twego talentu gospodarczego i twéj pracowitości dla tak małéj przestrzeni......

— Wiesz stryju,! przerwał Arnold, że mi dawano pełnomocnictwo do majątku lorda Haxlinks w Irlandji, przedstawiającego bardzo świetne widoki a jednak nie przyjąłem.

— To źle zrobiłeś. Podobni tobie ¡ludzie, możności rozwinięcia swéj zdolności nie powinni ograniczać własnem pragnieniem, ale potrzebą ogółu. Twój raj niby nie stracił gdyby rozszerzył swe ramy do kilku nawet mil kwadratowych: stwarzając go na kilkunastu tylko włókach, skrzywdziłeś całą Anglję, która nie cierpi całkiem na przesyt rajskich posiadłości.

— Stało się mój stryju.

— O! ty samolubie, odrzekł sir Patrik, Bianka lepsza od ciebie, bo gdy ty zdajesz się zapominać obowiązków względem Anglji, ona nie zapominała przyjaźni swéj dla Anny i widzę w jéj oczach, że radaby ją przykuć do swego raju, aby ten podwójnego dla niéj nabrał uroku.

— Już minęło lat sześć kochany stryju, odezwał się Arnold, jak ci powiedziałem, że tak ufam jéj rozsądkowi, iż w niczem nigdy nie sprzeciwię się jéj życzeniu. Jeżeli więc chce, może Annę zatrzymać przy sobie......

— Tak, tak, żeby was zawsze straszyła, przerwał sir Patrik, swojem nazwiskiem Delamayn.

Arnold westchnął i już w milczeniu razem ze stryjem weszli na domowe podwórze. Widocznie sir Patrik coś miał na myśli i to coś niezwyczajnego, po powrocie bowiem był niezwykle zamyślonym, czasem dziwne władało nim roztargnienie, coś szeptał sam do siebie, wzdychał, a gdy przed wieczorem spodziewając się zaproszonych gości, zasiedli przed wystawką domową i zdawało się że sir Patrik drzemał, nagle wyprostował się i zażywszy ulubionéj tabaczki, z palcami leżącemi na tabakierce odezwał się:

— Zapewne zdziwicie się moi drodzy, że wystąpię do was z prośbą wielkiéj wagi, któréj spełnienie opromieni resztkę mego życia takim blaskiem, jakim niegdyś w dalekiéj przeszłości świeciło. Uśmiechasz się Bianko i dziwisz się téj pożądliwości starego twego stryja, o! ty złośliwa kobieto ale bądź cierpliwą. Podam ci zaraz sposobność dokuczenia mi za tę przymówkę.

— Zawsze stryju byłeś powolnym dla mnie, odrzekła Bianka z uśmiechem, pewna więc jestem że i teraz nie zawiedziesz mego pragnienia w dokuczeniu ci za pobłażanie, którem mnie zupełnie popsułeś. Mów więc, słuchamy!

— Cieszy mnie ta gotowość, ale uprzedzić was muszę, że dotknę kwestji cokolwiek drażliwéj, i sięgnę do przeszłości aby usprawiedliwić moje dzisiejsze przedstawienie.

— Mów wszystko stryju, odezwała się Bianka ściskając mu rękę i całując Annę, dzisiejszy dzień zanadto dla nas szczęśliwy: abyśmy mogli w czemśkolwiek krępować twoją wolę.

— Dobrze więc, rzekł sir Patrik bębniąc palcami po tabakierce, pytam się więc najprzód Arnoldzie i Bianko czy jesteście szczęśliwi?

— Och! stryju czyż możesz o tem powątpiewać? odrzekli oboje małżonkowie.

— A ty mistress Anna, czy jesteś zadowolona ze swego obecnego stanowiska?

— Najzupełniéj. Szkółka któréj przewodniczę, pełna gwaru dziecięcego, otworzyła mi świat nowy, jakiego wprzódy nie znałam.

— Bardzo dobrze, a teraz pytam się was, czy niczego nie pragniecie, czy nie macie żadnego życzenia któreby szczęście wasze jeszcze podwoiło?

— Mam jedno, odrzekła Anna, oto większego zbliżenia się do Bianki, abym choć dnie świąteczne mogła z nią razem przepędzać, i czuła, że mam rodzinę co mnie kocha.

— To i moje jedyne jest pragnienie, odezwała się Bianka, i kiedy pomyślę że chwile waszéj obecności w naszym skromnym domku, twojéj stryju i Anny są policzone, czuję jak mnie przejmuje żal niewymowny.

I rzekłszy to Bianka zawisła na szyi męża, tuląc głowę do jego piersi.

— Podziwiam skromność waszych życzeń, przyznacie jednak że choć w malutkiéj cząstce przyczyniłem się do waszego położenia.......

— Tyś jedynie to zrobił nasz drogi stryju, tyś.....

— Sza! ciebie gadatliwa sroczko, przerwał sir Patrik, czyż cię zawsze nie kochałem i nie kocham? Czym Arnolda nie był zawsze przyjacielem a mistress Anny wielbicielem chociaż w ciszy i tajemnicy mego serca? Com więc dla was zrobił, zrobiłem to i dla siebie i teraz pragnąłbym znowu dla siebie nie dla was, aby wszystkie wasze życzenia mogły się spełnić.

— Och! stryju, gdyby to można—zawołała Bianka z radością.

— Tak, tak i ja to sobie sam powiadam: gdyby to można?! odpowiadam że można byleście tylko chcieli, byleście pragnęli dać dowód że stryja waszego kochacie i pragniecie obdarzyć go radością, o jakiéj zaledwie ośmiela się marzyć.

— Czyż to podobna? zapytała Bianka.

— Ale podobna ty przekoro, odezwał się sir Patrik. Oto wszyscy jak jesteśmy zamieszkajmy w nastym moim domie. Dziś jest smutny, opuszczony jak pan jego. Od chwili mego owdowienia, szczęście raz się tylko do mnie uśmiechnęło nadzieją.... było to w chwili poznania miss Anny Silwester.....

Słuchacze jednym wykrzyknikiem och! przerwali mowę sir Patrika, a Anna zaczerwieniła się i twarz chustką zasłoniła.

— Zapomniałem wówczas o pięciu krzyżykach mego wieku, mówił dalej sir Patrik, ale nadzieja prędko zgasła choć uczucie zostało. Dziś do pięciu krzyżyków sześć lat jeszcze przybyło... uczucie nie zamarło... pod jednym więc dachem mieszkać mistress Annie z takim starym awanturnikiem niepodobna. Jeżeli więc mistress Anno nie pogardzisz tytułem lady Lundie—Patrik, o co błagam jak o największą łaskę, uszczęśliwisz mnie i nas wszystkich. Arnold obejmie zarząd całego mego majątku, Bianka całego domu, a przyszła lady Lundie rozwinie opiekę nad szkółkami i dobrobytem wszystkich moich rolników. Żeby zaś Arnolda więcéj zainteresować w zarządzie mieniem mojem, małego Arnolda i spodziewane dziatki przyjmiemy za swoje, zrobimy zapis na rzecz ich całego mego majątku z zastrzeżeniem dożywocia dla ciebie mistress Anno na połowie dochodów w przypadku mego zejścia. Wiem że to jest prośba wielka, bardzo wielka, ale czyż mi jéj odmówicie? Bianko, Arnoldzie i ty mistress Anno, czyż mielibyście odwagę zmartwić odmową waszego starego przyjaciela?

Kiedy Bianka rzuciła się na szyję stryja nie umiejąc słów znaleść na uwielbienie jego dobroci, Anna stała jak skamieniała z oczami spuszczonemi.

— Anno! przemów! zawołała Bianka, czyż możesz się wahać?

— Dobroć sir Patrika oceniam, odezwała się wreszcie, pragnęłabym zadowolnić go, ale czy zdołam?

— Namyśl się pani odpowiesz mi jutro, odrzekł sir Patrik, a teraz zawieśmy rozmowę, bo widzę zbliżających się gości. Jutro wszystko ułożymy.

We dwa tygodnie później Anna została lady Lundie, czem tak rozgniewała macochę Bianki jako zepchniętą na drugie w rodzinie stanowisko, że wyjechała do Rzymu i tam stale zamieszkała. Arnoldowie przenieśli się do dóbr sir Patrika, który małego Arnoldka niezmiernie pieści i jest wszelkie prawdopodobieństwo, że go zrobi nie tylko dziedzicem swego mienia ale i nazwiska.

Nowe małżeństwo żyje z sobą w najprzykładniejszéj zgodzie, a sir Patrik zawsze przy każdéj sposobności powtarza:

— Mąż i żona to dwa wyrazy czarodziéjskiéj mocy. Prawo niedostatecznie określające ich stosunki, nadające przewagę mężowi z potarganiem praw żony jako człowieka, nie dające jéj obrony, gdy tego na gwałt domaga się, nadweręża cały gmach społeczny i chyli go do upadku. Chcecie się od tego uchronić poprawcie prawo, świętość tradycji zamknijcie w muzeach starożytności, a nowe idee, nowe potrzeby ducha czasu, nowemi owarujcie przepisami.

KONIEC.